

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

LISTOPAD

LWÓW 1896.
Nakładem Księgarni Polskiej.

<http://rcin.org.pl>

Drukarnia Narodowa w Krakowie.

1
2
<http://rcin.org.pl>

Kochanemu Kulecie
Gabryelowi Korbutowi
sposiarskiemu

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI.

na pamiątkę

Andrzej Niemojewski

Warszawa 8. Paź. 97

LISTOPAD

INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72

Tel. 26-68-63

LWÓW

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ

1896.

(A. Niemojewski) 1

<http://rcin.org.pl>

(Listopad) 8

1155

Z Drukarni Narodowej F. K. Pobudkiewicza.
w Krakowie.



<http://idp.org.pl>

LISTOPAD.

<http://rcin.org.pl>



Listopad.

Na pustem polu stoi topola, stara topola. W górze niebo ołowiane, dzień ma się ku schyłkowi, podyma wiatr. Topola szumi, szumi głucho, posepnie. Wiatr zmiata jej powiędłe liście, one ulatują nad polem, opadają na ziemię. Topola kołysze się z wiatrem, szumi jakąś ponurą skargą, jakimś żalem. Liście opadają coraz gęściej, wirują w podmuchach wiatru, sypią się na ziemię, zrywają. Na chwilę wiatr cichnie i topola głuchnie. Lecz po krótkiej przerwie uderza wiatr gwałtowniej, potrząsa gałęziami, miota topolą, szum jej się wzmacnia, sypią się nowe liście, coraz gęściej, coraz więcej. Topola wznosi ogołoczone gałęzie w niebo, to jakby z rozpaczą pochyla je ku ziemi; miotana wiatrem szumi coraz donośniej, coraz smutniej, żałośniej, powstaje w jej gałę-

ziach jakiś świst, jakiś jęk, jakieś posępne zawodzenie, pełne trwogi, boleści... A liście sypią się i sypią bez końca, coraz gęściej i gęściej i ulatują bezpowrotnie nad pustymi polami.

Śród opadających liści słysząc takie szepty :

— „Czemu ta nasza topola tak szumi posępnie za nami?“

A inne liście ulatując z ziemi w podmuchach wiatru, tak szepczą :

— „Czyż wiecznie będziemy na jej gałęziach wędły? Tu nasza wiosna była tak krótką, lato tak skwarnem, jesień tak bezlitosną!“

Opadają nowe gromady liści i szepczą :

— „Lećmy, o! lećmy z tym wiatrem jesiennym pod nieba cieplejsze, na szczyty dębów, których korony ozdobim, gdzie zazielenimy się na nowo, gdzie potężne konary ochronią nas przed burzami listopada! Dalej, o! dalej! Z nowymi podmuchami, w przestwory nieznane, pod inne nieba!“

Wiatr gwałtowniej podyma, szumi topola, sypią się nowe liści i szepczą :

— „Czekajcie, czekajcie! Tam szepty nadziei, radości? W jakimże obłędzie ulatujecie! Zawróćcie! Tam czeka was zguba i czeka zapomnienie!“

Coraz gwałtowniej wiatr podyma. Rośnie szept wśród liści:

— „Nie ma dla nas ratunku, niema wybawienia! Przyszła jesień, potrząsa nami! Zamarło w nas życie, zginiem daleko od naszej topoli, już nie obaczym wesołego słońca, daremne marzenia o powrocie!“

Lecz inne gromady liści szepczą:

— „Powrócim do topoli, przyrośniem napowrót do jej gałęzi, czekajmy tylko przyjaznych podmuchów wiatru! Wracajmy, wracajmy! Topola nas woła, płacze za nami, słyszycie jak jęczy? Powrócim do niej, obrośniem jej koronę, jej ciepło nas ożywi! Byle nie tracić otuchy! Z wiatrami, dalej a dalej!“

Wicher miota topolą, zamienia się w nawałnicę. Gromady liści wznoszą się dookoła. Już wicher rozpędził je po polu. Stoi ogołocona topola, szumiąc przeraźliwie. Wtem rozlega się trzask straszny, złowrogi... I sterczy na polu złamany pień

topoli a wicher z wyciem ulatuje przez pustkowie.

Gdzieś w dali słychać jeszcze szmery liści o cieplejszych niebach, o powrocie do topoli swojej.





Dwa pokolenia

Wyszedł księżyc na niebo, chory, znękany. Na sinem obliczu w głębokich oczodołach gasło życie, młode czoło porane w bruzdy. Widzi on zdala swą matkę ziemię, obraca ku niej znękaną twarz i z przepaścistych głębin jego piersi wydobywa się skarga:

— „Ni żyć, ni umrzeć!“

Ujrzała go ziemia. Pomarszczone jej czoło pokrywa się obłokami troski, morza wzdymają żalem i boleścią. Lecz wśród obłoków na czole pojawiają się ciemniejsze chmury, w których gniew błyska. I rozlega się głuchy grzmot:

— „Żyj lub umieraj!... Czemu mnie dręczysz twą skargą? Patrz!... Po tylu wiekach wrą we mnie święte ognie, w łonie mem lęgną się nowe żyjątka, pleni się

życie, wzdymają morza, szumią puszcze,
zielenią przestrzenie!... A ty z pustką
w sercu, nicością w piersi, przesuwasz się
przed memi oczami, widmo nieszczęsne,
trup obłąkany!“ —

Na niebo wybiegają gwiazdy, iskrzą
się, mienią barwami życia i żaru. Patrzą
za ziemią gromiącą, za księżycem znęka-
nym, okrążają przestwory, zdziwione wido-
kiem wąsającego się trupa. Wpływają
na drogę mleczną i patrzą surowo, groźno...

A księżyc znękany, wybladły, sunie
dalej w ślad za ziemią i cichy, ledwie
słyszalny szept brzmi mu na wargach:

— „Ni żyć, ni umrzeć!“





W przestworach.

Śród ciszy przerażającej, ciemności wiekiustych i mroźnych przestworów leci płomienne słońce a dokoła niego, rozproszoną gromadą, podążają planety, zabiegają mu drogę w chwiejnych, zmęczonych ruchach. Biegną miliony lat za słońcem, jedynym przewodnikiem, znużone, ośleple, pokrywają się obłokami, nie wiedząc, dokąd i poco dążą.

I zaczynają szemrać obracając się ku ognistemu słońcu, które w błyskawicach ulatuje naprzód i wiecznie naprzód.

Ale w głębi wszechświata ukazuje się słabiuchny punkcik świetlny. Słońce zawraca ku niemu z gromadą swych planet. Punkcik świetlny rośnie, zamienia się w gwiazdę ogromną. Planety ożywiają się, skupiają

dokoła słońca, podążają z otuchą ku tej gwiazdzie ogromnej. Słońce jednak dobiegłszy do tej gwiazdy, nie zatrzymuje się, okrąża ją wraz z planetami, leci dalej.. Już olbrzymia gwiazda maleje, zamienia się w punkcik świetlny i nakoniec niknie wśród wiekuistych ciemności. Planety chwieją się w orbitach, zabiegają drogę słońcu, niespokojne, zamglone, obracają się przeciw niemu i szemrzą :

— Dokąd nas wieszysz, przez te wiekuiste ciemności ?

— Daj wypocząć po milionach lat tułactwa!

— Ukaż nam cel ostateczny !

— Pociesz !

— Ni porzucić cię nie możemy, ni zawrócić same !

— Mijamy gwiazdy za gwiazdami, może tam spoczynek ? Wahamy się między nadzieją i rozpaczą ! Gwiazdy nikną a my lecim dalej bez końca...

— Miljony lat, miljony lat !...

Tak szemrają planety, znużone, krążą, chwieją się, pokryte obłokami, oślepte.

Słońce to słyszy. Ognista jego korona

błyska coraz groźniej. Spogląda potężnym okiem na gromadę szemrających planet i grzmi ku nim w biegu jedno jedyne słowo :

— Naprzód, naprzód !

Planety głuchną, wbiegają w swe orbity, posłuszne, ciche, lecą dalej miliony lat...





W górze.

Płynął obłok nad ziemią, rosząc ją łzami, kłębiąc się, tocząc, miotany wichrem burzliwym. Tam w dole była owa ziemia, z której wyszedł. Widział ją i płakał. Niekiedy błyskawice rozdzierały jego łono. Płynął dalej, przybierając coraz groźniejsze kształty.

Ale w dole była cisza, cisza upalna. Zdawało się, że wszystko usnęło snem leniwym, snem świata gnijącego. Było tam duszno, parno i nikt nie widział gromadzącej się burzy u góry. Było cicho, przerażająco cicho.

Obłok przystanął, oblał się rudym rumieńcem i zawieszony u góry nieruchomo nagle drgnął a z jego łona runął grom w dół i z potężnym hukiem uderzył w spaloną ziemię.

Zawyły wichry, lunęły deszcze, powstała na dole zawierucha. A obłok z rozdartem łonem płynął dalej po niebie, wzbijał się wyżej, jak gdyby nie chciał patrzeć na to, co się w dole działo.

Biegł, nikał, błądł, aż wreszcie przepadł gdzieś wysoko w górze nad wstrząsaną burzami ziemią.



Okręt nocy.

Siedzę przed moim domem, na dnie morza powietrznego, wśród skamieniałych roślin ludzkich, wśród martwego pustkowie — a on co wieczór nadpływa po przestworach zamglonych, nadpływa powoli, tajemniczo i zatrzymuje się w górze nad moim domem. U masztu chwieje się lampa mieniająca, rzucająca w głąb ku mnie blade smugi światła. Na pokładzie tłum cieniowych postaci, nachylonych, wysyłających tysiące drżących, zażawionych spojrzeń, szukających mnie na dnie tych wód powietrznych, mnie, druha wypraw burzliwych, dawno zaginionego, za którym płyną po przestworach, badając wiernymi oczyma dno tej topieli powietrznej, dno zmroczone, dalekie, gdzie panuje martwa cisza i spokój umarłych.

Te ich spojrzenia czuję na mej głowie, podnoszę oczy i z niewysłowioną tęsknotą patrzę ku górze. Jakaś niewidzialna siła przykuwa mnie do dna tego morza powietrznego, gdzie szarzeje posepnie mój dom, samotny mój dom, stojący wśród pól zapadłych i nieodwiedzanych. Ciemne jego ściany spoglądają na mnie ponuro i mówią mi: pozostaniesz tu!... Ilekroć usiłuję oddalić się od nich, to natychmiast spojrzenia tych ścian przeszywają mnie, sięgają głęboko, aż tam, gdzie zbiega się krew i czuję bolesne szarpnięcia serca. Zawracam i siadam, bez sił, bez woli, bez otuchy, patrzący jedynie z ogromną tęsknotą tam, ku górze, gdzie na falach powietrznych, wśród smug świetlnych miesiąca widnieje tajemniczy okręt z tłumem owych cieni, tysiącem drżących, wiernych spojrzeń, padających tu, na dno, za mną, dawno zaginionym... Widzę załamane ręce, słyszę niespokojne poszepty... Oni odpływają...

Wtedy budzi się we mnie dawna siła i mimo ponurych, przeszywających spojrzeń ścian mego domu, mimo najboleśniejszych szarpnięć mego serca, dzikim wysił-

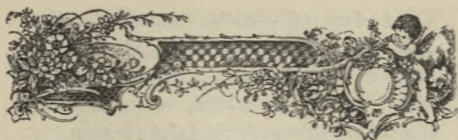


kiem woli, oszalały z tęsknoty, wyciągam ręce ku górze, czar traci moc nademną, za chwilę uniosę się z pomroki dna, wypłynę z tej topieli i oplątywających mnie skamieniałych roślin, wolny, połączę się z tą wierną drużyną!...

Lecz w stronie wschodu ukazuje się nagle blask czerwony i z gorejącymi oczyma nadlatuje dzień. Pierzcha przed nim okręt nocy a dzień o strasznej, sępiej twarzy, ściga go po przestworach, wołając za nim głosem drapieżca: »precz, precz!«

I siedzę znowu na dnie topieli powietrznej, wśród skamieniałych roślin ludzkich, przed moim domem posępnym, zdała od żywych, umarły...





Wiatr.

Zahuczał koło mego domu nocą ciemną, zaszumiał w gałęziach kasztanów, uderzył w okiennice. Zadrżały szyby, zadrżał cały dom. Słyszać było w tym huku niekiedy jęk głuchy, to wrzawę licznych głosów, to miotanie się burzliwe a rozpaczliwe.

Dziwnie znajome głosy brzmiały mi w tym szumie. Jak gdyby to były ludzkie głosy, jak gdybym je był niegdyś słyszał, gdy byłem młody, gdy otaczał mnie rój wesołych towarzyszków.... Nie, to później... gdy ci towarzysze rozbiegli się po świecie i tak daremno się nawoływali, gdy każdy z nich niemal osobno ginął a zwołać się już nie mogli... Tak, to wtedy... Nieraz słyszę ich głosy błędzące po nocy koło mego domu. Straszno mi wtedy...

I dziś mi dziwnie straszno. Wiatr dmie posępnie i huczy z całą siłą a w jego wrzawie brzmi tysiące przeróżnych skarg, jęków, wołań, przeklinań, ostatnich wysiłków bohaterskiego ducha i cicha rezygnacja.

Idźmy spać... Świece gasną.

Napróżno! Oczy się nie kleją a myśli żywo przelatują w głowie. Ten wicher usnąć nie daje. Wbiega mi do duszy, przelatuje jej przestrzenie, posępniejsze może od tych przestrzeni na około mojego domu...

Wiatr szumi... Co to?... Otwiera moje okno, zagląda, podchodzi do łóżka... Twarz jego bleda, oczy w słup, na szyi powróż...

To był sen... przykry sen... Zapalmy świecę... trzeba się uspokoić.

Cicho... cicho... Wiatr wychodzi, zbliża się do okna, palec kładzie na ustach, daje jakieś znaki... Zamyka się okiennica, za oknem rozlega się jęk, świst, wycia tysiące śmiechów... Rozwiera się z trzaskiem okno i tłum jakiś wpada... »Cha, cha, cha, cha!« wyją śmiechy... »Cha, cha, cha, cha!« wyje tłum... On uchodzi przed tym wyjącem ze śmiechu tłumem, widzę go,

powróż wieje za nim od szyi, twarz okropnie zmieniona, pełna rozpaczy i zawodu...

»Cha, cha, cha, cha!« wyją za nim tysiączne głosy...

Okno zamknięte, wicher huczy na dworze. Sen pierzcha. Świeca pali się. Przez szpary wpada powiew i pochyla jej płomień.

Zdaje się jednak, że wiatr na dworze cichnie. Szum coraz słabszy, burza widocznie ustaje, kasztany szumią cicho, płomień świecy pali się spokojnie. Ach, gdyby choć na chwilę usnąć spokojnie!

Zgaśmy świecę. Ciemno. Przed oczami latają wśród tej ciemnicy czerwone punkciki. Na dworze cichy, kojący szum.

Znowu otwiera się okno. Wchodzi blady cień. Na jego twarzy ogromny smutek, zakrzepła krew na ustach. Oczy pełne blasku; patrzą one na mnie, zaglądają mi w duszę, jak gdyby mówiły: »Takie jest wasze życie...«

Zrywam się z pośłania. Cisza. Nikogo nie było. Okno zamknięte, próbuję, zaryglowane. To sen... znowu sen...

Słyszę tylko cichy szum za oknem na dworze: »Takie jest wasze życie...«



Starowina.

Wieczór był cichy, chłodny. Wstawaly mgły i powoli zakrywały brudne fabryki, dziedzińce, pola; bielila się tylko droga, niby długi pas lądu pomiędzy dwoma morzami mgieł. A na końcu tej drogi, w górze, wysoko, jaśniała huta żelazna i nad nią w mgle rozpinala się coraz szerszej czerwona luna. Huta gorzala wśród tych mgieł jak jakieś piekło z średniowiecznej bajki.

Przystanalem na drodze i dlugo wpatrywalem się w ten obraz. Mgły gęstniały. Powietrze bylo przesycone wilgocią. Na lewo szarzala tajemniczo za mgłami gaszcz, zupełnie jak w jakiejś balladzie niemieckiej.

Zawróciłem. Do uszu moich dochodził głuchy huk z pobliskich zakładów. Właśnie rozległy się donośne sygnały zwia-

stujące godzinę szóstą. Niebawem zaczęły się pojawiać na drodze gromadki robotników. Niebieskie bluzy, twarze blade, blaszanki w rękach.

Wnet znowu pusto było na drodze. Ruszyłem dalej. Śród tych mgieł można zapomnieć, gdzie się jest. Ot, poprostu zdaje się, że to tam ciągną się smugi bez końca, po których z mgłą wieje tęsknota i słabiuchny wietrzyk coś dzwoni. A ten głuchy huk także coś na myśl przywodzi, coś nieuchwytnego a przecież tak znajomego.

Napotkałem nowe partje robotników. Zapóźnili się widocznie na nocne roboty, bo biegli. Gdy ostatnie gromadki znikły obejrzałem się znowu na hutę. Gdzieś daleko paliła się jak czerwona róża na białych welonach, dziwna, tajemnicza, jak z bajki...

Wtem posłyszałem tuż za sobą ciężkie westchnienie, do jęku podobne, w którym przebijało się znużenie, troska i ciężar życia.

Obejrzałem się. Stała tam, wsparta oburącz na kiju, stara kobiecina, mocno

zgarbiona i widocznie bardzo znużona. Twarz jej woskowa pomięta była w tysiączne fałdy. Oczy wypłowiałe, jakby oślepe. Suknie niezmiernie ubogie, zwilgotniałym kurzem pokryte. Wargi starowiny drżały ustawicznie.

Ogarnęła mnie jakaś niewysłowiona litość na widok tej starej kobieciny i rzekłem do niej :

— A dokąd to matko spieszycie tak późnym wieczorem? Nie lękacie się, że was tu kto potrąci a może i przejedzie.?

Stara kobiecina drepcząc odwróciła się w moją stronę i wsparta oburącz na kiju podniosła trzęsącą się głowę. Odechnęła ciężko i rzekła głosem złamanym, wymawiając wolno słowo za słowem :

— Którędy tu, panie, droga go wielkiej huty, gdzie żelazo ciągną takimi belkami, o! — i gestem wskazała wyimaginowaną wielkość belek. A gdy z pewnem zdziwieniem na nią spoglądałem, nie mogąc zdobyć się odrazu na odpowiedź, pokiwała znacząco głową i dodała :

— Tak, tak, panie! Takimi belkami, o, takimi!

— A kogo tam, matko, szukacie? — zapytałem.

Stara kobiecina wyprostowała z trudem zholale krzyże i pochyliwszy się znowu na swój kij, rzekła:

— A syna szukam, panie, jedynaka. On mi jeden pozostał. Poszedł w świat za robotą, bo dziś ciężko, panie, oj ciężko to, ciężko! Ciągnął żelazo jak inni, aż go niemoc powaliła. Pisali, żeby przyjechać, pielęgnować, młodemu umierać żal. Trzeci dzień idę. Pisali w liście jak o drogę pytać. Ale któż to spamięta! A ja już, panie, nie dojrzę. Idę tedy i pytam ludzi po drodze: jak iść do tej wielkiej huty, gdzie żelazo ciągną całymi belkami? Ludzie wskazują ręką. Idę, jak pokazują. To tam więc, panie?

— Tam! — rzekłem wskazując hutę, która w mgłach gorzała ponuro.

— Takiemi belkami? — dodała stara, jakby się chciała upewnić, czy jej dobrze drogę wskazuję.

— Takiemi belkami — odrzekłem poważnie. Już niedaleko.

— Bóg zapłać, panie! — odpowiedziała stara i powłokła się drogą, stękając.

Wkrótce postać jej zaczęła w mgle ciemnieć i niknąć. I tylko nad miejscem, gdzie ją straciłem z oczu, coraz czerwieniej gorzała huta.

— Jak w bajce, pomyślałem. Jak w bajce !...



Żmija.

Rozległa, ciemna hala. W lewo żarzą się piece. Na prawo obracają się rzędy walców. W głębi szarzeje grupa nieruchomych postaci. Twarze apatyczne, wzrok senny, ręce po łokcie obnażone, założone na piersiach. Przez chwilę słysząc tylko głucho warczenie kół transmisyjnych.

Wtem rozlega się dzwonek i grupa owych szarych postaci ożywia się, rozprasa po hali. Jedni stają przy walcach, inni podążają ku piecom, otwierają zasuwę, uderza blask na całą halę. Z pieca wysuwa się na wózku potworny blok rozpalonego żelaza otoczony czarnymi sylwetkami ludzi. Sunie on do pierwszej pary walców, które go nihy wargami wchłaniają, znika w ich paszczy. Lecz po krótkiej chwili z sąsiedniej pary walców wybiega on jako

wydłużona czerwona belka, zatrzymuje się w pośrodku hali, cofa, zmierza ku trzecim walcom i niknie w ich wargach. I znowu przez pewien czas słychać tylko warczenie kół transmisyjnych.

Nagle z czwartych walców, niby z ust ścieśnionych, strzela ognista żmija drutu. Lecz z boku czyhała na nią ciemna postać ludzka z wystawionymi kleszczami. I zaledwie czerwony łeb żmiji wychynął, gdy ujęły go te kleszcze, uniosły i wciśnęły w paszczę walców przyległych. Stało się to tak prędko, tak błyskawicznie prędko, że rozpalona żmija lekko tylko zgrzytnęła w paszczy walców i już przewija się w półkolu z jednych walców do drugich, faluje, dygoce, wściekła, bezsilna, zbliża torturowaną pierś do swego ujarzmiacza, to słania mu się do nóg. Ale on usuwa się do ściany pomiędzy walcami, opuszcza kleszcze ku ziemi, patrzy na przelatującą żmiję wzrokiem spokojnym wiedząc, że ona nie muśnie ani jego nóg, ani jego piersi. Właśnie jej ogon wyleciał z walców po prawej, uderzył z furją o żelazne rusztowania, wbiegł między walce po lewej.

Teraz tam z ostatnich walców wystrze-
liła żmija na sam środek hali. Wznosi go-
rejący łeb, śledzi, kogo by mogła ukąsić,
szuka ofiar, wszyscy usuwają się, ona się
wije, ciska na piasku, skłębina, oswobodzo-
na już połową swej długości. Z boku czai
się nowy jej ujarzmiel. Ona go dostrzegła,
z sykiem obraca ku niemu swój łeb, rzuca
się na niego. On ze zwinnością kota usko-
czył, rozwarł kleszcze. posypało się kilka
iskier i już łeb żmiji ujęty na nowo, por-
wany, wpleciony w sztaby kołowrotu. War-
knęły transmisje. Kołowrot z szaloną szyb-
kością zaczyna się obracać a nawijająca
się nań żmija słabnie, rudzieje, przygasa.
Kołowrot warczy i warczy. Z walców wy-
dobył się czerwony ogon żmiji, zamiata po
hali, wznieca ogień wśród rozrzuconych wió-
rów, grozi nieostrożnym; ale już porwany
wirowym ruchem kołowrotu traci siłę, ga-
śnie, martwieje. Kołowrot staje. Nieżywą
żmiję wywożą z hali na wózku. I znowu
żarzą się piece, stoi grupa nieruchomych
postaci i słysząc tylko głucho warczenie
kół transmisyjnych.

Za jedną żmiją przelatuje kilkadziesiąt, kilkaset. Robota wre. Najdzielniej spisuje się młody wyrostek przy czwartych walcach. Młody, igra z wściekłością przelatującej żmiji. Ilekroć z walców łeb jej się wychyli, nie chwyta kleszczami odrazu. Niech ona sądzi, że wylatuje na swobodę! Dopiero po chwili dogania ją, porywa jej łeb w kleszcze, unosi nad głowę; obraca się na miejscu i wciska łeb żmiji pomiędzy zwijające się wargi walców przyległych.

A sam, stojąc w ognistym kole, patrzy na drgające ciało żmiji, na falujące linje, sunące zdradziecko ku jego nodze. On nawet nogi nie usuwa, ona tej nogi nie dotknie, nie odważy się dotknąć! — Żmija drga, zbliża się, oddala, znowu zbliża, aż ćmi się w oczach od tego koła płomienego... Oddaliła się... Nie!... Jakto?!... Nagle czuje on jakieś jadowite ukąszenie w nogę... swąd... Dokoła rozlegają się krzyki, nadbiegają ludzie... On spogląda ku swej nodze... Znać zamroczyło mu się w oczach!... Co się to stało?!... Wtem wszystko zaczyna mu tańczyć przed oczami, słabnie, opada na czyjeś ręce...

Kiedy się zbudził, nie wie. Pokój widny, leży w wygodnem łóżku; głowa mu tylko fatalnie cięży i kołdra uciska, chociaż tam w nogach wisi na jakiejś obręczy. Patrzy w okna. Toż to jasny dzień! Chce zerwać się z pośłania, aż tu od innego łóżka przyskakuje felczer, przytrzymuje go za ramię i woła niecierpliwie:

— No, no! Tylko bez tych głupstw
Leż cicho, kiedy ci dobrze!





Stara warjatka.

Dzika, straszna twarz. Wiecznie ściągnięte brwi, ponure spojrzenie. Czoło koloru miedzi, opalone, porośnięte brudem, przecięte gniewnie zmarszczką. Postać na wpół naga, przyodziana postrzępioną spódnicą barwy błota. Na piersiach rozdarta koszula, od sześciu lat niezmienniana. Ktokolwiek spotka się z tym upiorem kobiecym, ten schodzi lękliwie z drogi. To znana, stara warjatka!

Czemu stara? — Ha, tu czasy szybko biega! Sześć lat nieraz czyni człowieka starcem.

Codziennie około południa dąży stara warjatka w stronę Radochy. Dziwnie jest wtedy niespokojną. Oddycha szybko, nie widzi nikogo na około siebie, patrzy trwożnie w dał, zaczyna biedz. Mija stary szyb

Zygmunta, wpada w Martwy Lasek, spieszy wzdłuż Przemszy ku byłej kopalni »Bożego Błogosławieństwa«, podobnej dziś do głębokiej paszczy krateru, zalanego wodą. Zbliżając się do tego krateru zaczyna wydawać głuche jęki, straszna jej twarz wyraża okropne przerażenie, usta wykrzywiają się kurczowo. Pada na kolana, zasłania się rękami, jak gdyby chciała odegnąć jakieś widzenie, krzyk jej rozlega się daleko, wreszcie szlochając pochyła się ku ziemi, płacze coraz ciszej, coraz słabiej, usypia. Dopiero po zachodzie słońca podnosi się, idzie dalej, okrąża pola, osady, wieczna tułaczka, stara warjatka.

Przed sześciu laty w czasie pięknego południa lipcowego szła ona tędy jako młodziutka, śliczna mężatka. Hoże było jej oblicze, jasne, uśmiechnięte oczy. W tydzień po ślubie szła tędy niosąc mężowi obiad. Mąż pracował w kopalni. Tego krateru prawie jeszcze nie było. On wtedy powstał w jej oczach.

Wrzało tu życie. Z potężnego komina sunął dym, koła nad szybem nie ustawały. Na rampie roiły się tłumy. Przelatywały

setki wagoników. To wszystko znikło jak sen.

Na dnie kopalni kilkuset górników w chodnikach, zabierkach, przy pochylniach, tworzyło świat inny, świat podziemny. Kopalnia »Bożego Błogosławieństwa«, jedna z mniejszych kopalń zagłębia, dawała ogromne zyski z powodu łatwości, z jaką węgiel wydobywano.

Ale od strony południowo-zachodniej, gdzie znajdował się najcenniejszy pokład, stała tama zakazanego owocu górniczego. Ilekroć naruszano ową tamę, tylekroć pokazywał się najgroźniejszy wróg kopalni, muł, zwany »kurzawką«, ponieważ rozlewając się gwałtownie po chodnikach kopalni, wywołuje przeciąg powietrza, zamieć, kurzawę.

Przez lat wiele był spokój, kurzawka nie pokazywała się, zapomniano o tamie.

Pewnego dnia okazał się brak drzewa w kopalni. Postanowiono część starej kopalni »zrabować«, to znaczy, zabrać stamtąd drzewo, podpierające skałę. Zbliżono się ku owej fatalnej tamie.

Lecz zaledwie pierwsze podpory ruszono, gdy rozległ się straszliwy trzask, skała pękła, zaczęła się walić a przez otwory rozlała się kurzawka z taką mocą, że po upływie kilkunastu minut odwrót z kopalni był odcięty. Kurzawka zalala chodnik główny, dostała się pochylniami na piętra. Utworzył się ponad nią olbrzymi wir ziemi, na dwieście metrów poruszony, wir ten sięgnął powierzchni, rozwarła się okropna czeluść a z niewidzialnych źródeł buchnęła w nią woda i po brzegi wypełniła.

Kopalnia »Bożego Błogostawieństwa« wraz z kilkuset robotnikami w jej głębiach zamkniętymi przestała istnieć.

Kto na to patrzył, ten mógł oszaleć.

Dzień był przepiękny, słońce dobiegło południa, dokoła szumiały drzewa Radochy, gdy nagle u stóp młodej kobiety rozwarła się potwornie ziemia, ukazała się czarna, straszliwa przepaść, w głąb jej runęły rampy, wagoniki, tłumy pracujące a po chwili wszystko znikło jak przerażające widzenie, zalane buchającą zewsząd wodą.

Na dnie tego piekła pozostało szczęście młodej kobiety, jej mąż, jej cała przeszłość i jej rozum.

Odtąd błąka się nocami po okolicy, postarzała przedwcześnie, odarta, ponura, dzika. Ale codziennie koło południa budzi się przeszłość w jej pamięci, niespokojna spieszy przez Martwy Lasek, sunie wzdłuż Przemszy, biegnie w stronę kopalni, gdzie jej młody mąż czeka na obiad. Codziennie u stóp jej rozpada się ziemia, rozwiera się straszliwa czeluść, zapadają się rampy, tłumy, buchają wody. Krzyk przeraźliwy rozlega się dokoła. Stara warjatka z jękiem pada na ziemię, tarza się, szłocha, wysilona płacze coraz ciszej, ciszej, aż wreszcie usypia...

Ile razy ją widzę w tem miejscu, tyle razy i mnie zaczyna się myśl mącić w głowie.





Automaty.

Nocą wygląda walcownia jak ciemny okręt, parkan jak kadłub, komin jak maszt, dym jak rozwijająca się czarna bandera. I płynie ta nawa już lat trzydzieści przez burzliwe morze przemysłu.

W kajucie czuwa zawiadowca. Przed nim zamiast busoli stos zamówień, zamiast barometru ceduła giełdowa, zamiast atlasu geograficznego księga firm, zamiast dziennika okrętowego lista zarobków.

Gdy wstąpił po raz pierwszy na pokład tego okrętu fabrycznego, był młodzieńcem. Dziś, szpakowaty, nieco pochylony mężczyzna, o twarzy zmęczonej, który już nie marzy o odkryciu złotodajnych rynków zbytu, doświadczony żeglarz przemysłu, wodzi swą nawą po wodach spokojnych, drogach pewnych.

Przez okienko w drzwiach widzi wnętrze całej walcowni. Od trzydziestu lat nic się nie zmieniło. Nawet i ludzie prawie ci sami.

Tam przy piecu, gdzie ułożone stosy tafli cynkowych, ten sam szmelcerz w skórach i butach blaszanych od lat trzydziestu żelaznym hakiem drzwiczki otwiera, tylko już znacznie wolniej bierze po dwie tafle i wrzuca do czeluści popychając hakiem. I tak samo pryska nań roztopiony cynk. Wypalił mu przez ten czas jedno oko i wyłobił kilka blizn na twarzy.

Z drugiej strony pieca ten sam robotnik czerpakiem miesza lawę cynkową, nalewa do prostokątnych foremek, następnie bierze do rąk zgarniacz i zgarnia kolejno pianę z wszystkich foremek, w końcu nakrywa je blachą.

Ten sam podręczny w żelaznych rękawiczkach wyjmuje od lat tafle z foremek, rzuca na taczki i podwozi ku walcom. Przy dwóch parach walców widać dwie piątki walcowników; stoją oni oparci na obcęгах, bosy, w skórzanych fartuchach. Już podwieszono nowe płyty. Starszy wal-

cownik ujął je obcęgami, walce chwyciły płyty, te zgrzytnęły i znikły. Ale po chwili z tamtej strony na łańcuchach umieszczone obcęgi uniosły je ponad walce, wydłużone i spłaszczone płyty ujęte obcęgami starszego walcownika przy pomocy dwóch młodszych; wszyscy trzej miarowym krokiem cofają się wstecz z blachą; znowu, popychając ją, postępują powoli cztery kroki naprzód, blacha niknie w walcach, starszy walcownik podkręca walce, blacha górą powraca, cofają się z nią cztery kroki wstecz, postępują cztery kroki naprzód, uszli w ten sposób rocznie po pięćset mil, przez lat dwadzieścia obeszliby półtora raza ziemię na około...

Za walcami ten sam wagowy od lat kilkunastu chwyta ciepłą jeszcze blachę i kładzie na wagę automatyczną. Ledwie jej dotknął, wskazówka zakreśliła wymagane koło, stanęła na punkcie właściwym, on blachę odrzuca, bierze drugą, wskazówka już stanęła, bierze trzecią... Przeważył w ten sposób całą przeszłość swoją, wszystkie nadzieje, wszystkie zagadnienia swego życia...

Przy nożycach ten sam krajczy od

kilkunastu lat podsuwa blachę pod potwor-
ne usta stalowe, które ją oblamują. Przy
stemplu ten sam markier znaczy blachę.
Wszyscy od lat tyłu poruszają się jak
automaty, miarowo starzeją, garbią, żółkną,
schną...

Przez okienko patrzy zawiadowca na
na to okiem wybladłym, podpira głowę
na rękę; maszyna dudni, blacha w walcach
zgrzyta; za ścianą huczy wiatr jesienny,
huczy niby tubalny głos kaznodziei z mó-
wnicy świata, niby jakiś wielki moralista
obwieszcza on stare komunały o odrodze-
niu się człowieka przez pracę... przez nie-
zmordowaną pracę.

Lekki, ironiczny uśmiech ukazał się na
zmęczonej twarzy zawiadowcy...





Głosy podziemne.

Nigdy nie głuchną, wciąż rozgrzewają, potężne, złowieszcze, groźne, przeciągłe, niepokojące. Do ich gardzieli przystawiono olbrzymie stalowe pijawki, ssące dniem i nocą, bez chwili spoczynku. Gardziel nabrzmiwa ustawicznie, szum zamienia się w ryk. Każdy słyszy te głosy, każdy drży przed niemi, chociaż dobrze nie rozumie, jakimi one brzmią wyrazami.

W słabo oświetlonej sali podziemia, wśród gigantycznych cylindrów, do manometru zbliża się z latarką dozorca maszyn, spogląda, pokręca głową, odchodzi. Pulsują wentyle, syczy umykająca para. A za węglową ścianą huczą dalej potężne głosy, złowróżbne, przeciągłe.

Na trzysta metrów w głębi ziemi, pośród ścian kamiennych i węglowych, pośród

wieczystej nocy, huczą wózki po pochyl-
niach, wybuchają miny, uderzają oskardy,
sypią się czarne djamenty. Po szynach
ciągną posłuszne konie sznury wagoników.
Słychać nawoływania sztygarów, rozbrzmie-
wa sygnał, szala uderza o dno szybu. Po-
pychacze strącają wózki ze zgrzytem. Ude-
rza dzwonek. Szala brzemienna unosi się
powoli, potem coraz prędzej; węgiel wy-
dobywa się na świat wózkami, wagonami,
całymi pociągami, które go unoszą do fa-
bryk, do miast, gdzie czeka tłum handla-
rzy, spekulantów. Mnożą się interesy, gro-
madzą stopy korespondencji, ożywia się
giełda, krążą papiery z rąk do rąk, z je-
dnych domów handlowych do drugich, go-
rączkowo; nikt nie śpi, nie bawi się, ze-
wsząd napływają przychodźcy za pracą,
za dorobkiem szybkim, za nagłym boga-
ctwem, za milionami... Wszyscy są równi
wobec prawa do zdobycia milionów!...
Czarne djamenty w niewyczerpanych głę-
biach, w niewyczerpanych pokładach!...

Ale głosy podziemne grzmią coraz gro-
źniej, coraz złowróźbniej. Maszyny bliźniacze
pracują tłokami, rury drżą, jakiś niedobry

huk słyhać za ścianą podziemnej sali. Dozorca maszyn znowu się zbliża z latarką do manometru, potrząsa głową, wychodzi do pobliskiej kamery. Po kamiennych schodkach zstępuje do gardzieli, z której wydobywają się te groźne, glucho głosy; podnosi lampkę i w dół spogląda. Woda wre, pieni się, grzmi, pryska. Skąd się jej tam tyle bierze! Przy blasku lampki widać potężne rury, które ją wsysają ustawicznie i całą rzeką odprowadzają ku górze. Nigdy jej nie ubywa! Huczy ona tam, grozi, pieni się; rury drżą, woda je przegryza, niszczy, drwi z ludzkich zabiegów, ze snów o bogactwie, o milionach. Tu ujęta, skuta w żelazne rury, jak lwica w klatce, ryczy, toczy pianę, chce się wyłamać. Nikt nie dotrze do jej źródła, nikt go nie zbada. To jej tryumf, jej siła! Póki jest niezbadaną, póty jest straszną! I tam w dole, pokrywając się pianą, ryczy śmiechem tryumfu, wznosi się, przewala, kotłuje, aż naszalawszy się do syta słabnie, opada, cichnie, układa się, uspokojona. usypia, spętana, poskromiona, opanowana przez istotę myślącą, ona, żywioł

bezrozumny, już nie chce się dalej buntować, ugina się przed wolą możniejszą, pokorna, miękka, uległa... Ale po chwili daje się słyszeć ponury pomruk, ona budzi się znowu, niespokojna, wstrząsa białą grzywą, wzdyma się, podnosi, ryknęła próbując głosu, obiega więzienie, czai się, krąży, zła, straszna; nagle dźwiga się z wściekłością, rzuca na kamienne ściany, miota się w szale, bryzga, kipi, wyje, rwie głązy wodnemi pazurami, ryczy okropnie i znowu grozi wszelkim zabiegom, pracy, spekulacji, bogactwu, milionom. Może już za chwilę zerwie swe więzy, zaleje chodniki, pochylnie i maszyny, górników, zniszczy pracę dziesiątków lat, wypłynie szybem, ogłaszając z wyciem oswobodzenie żywołów z niewoli człowieka, — pobladną spekulanci, giełda zachwieje się w podstawach... A jeżeli nie zerwie swych więzów, jeżeli za chwilę znowu zacznie opadać, uciszać się, to przecież tym, co rękę wyciągają po czarne djamenty, grzmi pod ziemią swą groźbę: Nie zaznasz spokoju, gorączka nie ustąpi z twoich warg, zimny pot będzie oblewał twe czoło, spokojny

sen nie zagości na twych powiekach, strach będzie wciąż pukał do drzwi twego domu, rozkosze młodości ulękną się ciebie i ominą cię, wiek twój męski toczyć będzie robactwo niepokoju a starość twoja nie będzie wiedziała, czy może już odetchnąć wśród dostatku, czy też przyjdzie jej chwycić za kij i pójść żebrać ludzkiego miłosierdzia, wzgardzonego, oplwanego miłosierdzia... Śród nocy niespokojnych, niepewności okropnej, wciąż pytać będziesz: dla kogo tak pracujesz? dla kogo takie znękania ponosisz? czemu z takim wytężeniem pracujesz na wielką nienawiść? dla jakiej idei obracasz się w tem piekle, męcząc okropnie siebie i innych?... POCO? POCO?... Patrz, te łby wodne, to milion głów wychylający się z tej pieczary podziemnej, to milion rąk wychudłych, sunących ku tobie, aby cię chwycić za suknie, porwać w huczącą głąb, rozedrzyć w wirze rozszałałego bólu, rozpaczy, pomsty...

Tak ryczą głosy podziemne, strzegące dostępu do czarnych djamentów.





Maszynista.

W wysokiej a mrocznej sali, na ogromnym bloku cementowym, spoczywa machina wydobywalna, niby śpiące cielsko potwora. Dwa cylindry leżą, niby łapy; nad nimi rysuje się w cieniach potężne koło rozpędowe, na które, niby na kark, nawinięta lina druciana. W tej chwili kolosalna ta machina wydaje się czemś bezdusznem, potwornem, budzącem przestrasz. Jest to jakiś sfinks leżący na bloku cementowym. Sfinks ten wydaje się czemś ciężkiem, niekształtnem, wydaje on się jakimś potwornie chorym i niezdarnym pomysłem obłąkanej fantazji warjata. Jedna jedyna lampa, zawieszona u bocznej ściany, rzuca nieprzyjemne światło na deskę, pionowo po prawej ustawioną, poznaczoną w poprzek linjami; u jej szczytu wisi na drucie trójkącik w kształcie serca. Przed

maszyną stoi na wzniesieniu maszynista. W prawej ręce trzyma ramię hamulca a lewą ręką ujmuje kółko wentyla. Stoi on nieruchomo w pomroce, zmęczony jego wzrok zawisł na owej linii świetlnej, na desce, u szczytu której wisi serce. Za ścianą grzmią sortowniki, przesypuje się węgiel, słychać zgrzyt wagoników, zmieszane głosy ludzkie, rozlega się istna orgja tonów i szmerów.

W tej chwili szarpnięto dwukrotnie dzwonek umieszczony nad kołem rozpędowym. Maszynista odkręcił nieco wentyl, poruszył nieznacznie hamulec. Olbrzymie cielsko maszyny ocknęło się, podniosły się kolejno dźwignie tłoków, syknęła para z cylindrów. Lecz potwór nie zbudził się jeszcze zupełnie. Po raz wtóry szarpnięto dzwonek. Olbrzymie koło zaczyna się powoli obracać, dźwignie wznoszą się i opadają na przemian, niby łapy, coraz prędzej, cicho, niby łapy potwora z gatunku kotów, lekko, zgrabnie. Tak porusza się ta kolosalna machina, wpada w pęd szalony, serce po desce leci w dół z przerażającą szybkością. Serce — to szala! Droga,

którą ono przebiega, to skrócona głębokość szybu! — Już, już dna szybu dobiega, za chwilę roztrzaska się tam w głębi o dno! Lecz znowu rozlega się dwukrotny odgłos dzwonka, koło rozpędowe zwalnia, dźwignie wznoszą się coraz wolniej, serce powolutku dna dosięga, staje; już i cielsko maszyny nieruchome, bezwładne. Maszynista nie spuszcza oka z linii świetlistej, jedna ręka spoczywa na wentylowem kółku, druga trzyma hamulec. Za ścianą grzmia sortowniki coraz donośniej, w sali mroczo i posepno, nad wyraz posepno. Znowu rozlega się dwukrotny odgłos dzwonka, maszyna ożywia się, koło rozpędowe zaczyna szaleć, lina się nań nawija, dźwignie, niby olhrzymie łapy kota, wznoszą się i opadają, cicho, szybko. Serce po desce dobiega szczytu, już koniec szybu, potwór się uspakaja, układa, teraz tam z szali za ścianą wyciągają wózki, wszędzie węgiel, węgiel, węgiel!

Znowu brzmi dzwonek! Lecz cóż to? Aha, sygnał poczwórny! To górnicy szybem zjeżdżają. Maszyna porusza się wolniutko, ostrożnie stąpa cielsko kota, cicho, zgrabnie, serce

po desce zsuwa się pomału. Jeszcze zwalnia, staje, szala z górnikami dobiła do dna szybu. Rozlega się sygnał. Dwa uderzenia! Ręka porusza hamulec, odkręca kółko wentyla, koło rozpędowe leci, zaczyna znowu szaleć... Już północ minęła, dawno minęła. Tam za obrębem kopalni, za dziedzińcami, za warpiami, tam ciemno w domach, ludzie od dawna już śpią, może już wnet i budzić się zaczną. Czasem tam za ścianą głuchną sortowniki... nie! one grzmią ustawicznie, tylko sen przeleciał nad głową maszynisty... Ale on się otrząsnął, już jest znowu rześki! Słyszy wyraźnie sygnały i doskonale je odróżnia. Prawie ciągle dwa uderzenia. Idzie węgiel, sam węgiel! Machina pracuje równo, sama idzie. I ręce same ją poruszają. To światło na desce nuży wzrok, kleją się powieki. Jakoś na chwilę deska owa znikła... Nie znikła, zamroczyła się tylk o... Jezus Marja!... Maszynista ze strachem przeciera powieki. Co się to dziś dzieje? Tak, on miał przez chwilę oczy zamknięte, widział deskę, ale widział we śnie, słyszał sygnały, ręce same poruszały hamulec i wentyl. Sortowniki

za ścianą huczą niby wichry, który wzmacnia się i słabnie, coraz ciszej huczy, coraz ciszej...

Cóż tam za wrzaski nagle słychać?! Maszynista drgnął. Słychać jakiś trzask, świst, ryk... Rzuca on rozpaczliwie ręce ku hamulcowi, zakręca wentyl... Och, przeklęta chwila, jedna chwila!

Wpada gromada ludzi. Jakaś potężna ręka chwyta go za ramię i potrząsa nim. Rozlega się krzyk do zdławionego ryku podobny:

— Walek, na Boga Wszchemogącego! Nie słyszałeś jak bito cztery? Szala z ludźmi uderzyła o strop nad szybem! Potrząskane żebra, dwóch na miejscu zabitych!...

Maszynista słucha osłupiały, ale jeszcze nie pojmuje tego, co mu mówią. Chce uprzytomnić sobie kilka chwil ostatnich. Sygnał... hamulec, wentyl... serce szło w górę... coraz prędzej... bito sygnał, słyszał go... ale jaki to sygnał?... Nie może sobie przypomnieć...

Nagle zakrywa twarz rękami i wybuchą okropnym płaczem. Cała sala na-

pełniona ludźmi. Wszyscy krzyczą, wymachują rękami. Wyprowadzają go na schody...

Scena nadludzkiej walki ze snem skończona. Teraz tam rozpocznie się dramat prawny.





Południe.

Donośnie odezwały się syreny przędzalni zwiastując godzinę spoczynku. Maszyny stanęły. Przez wielkie tafle szklane widać było te kolosy, nieruchome koła rozpędowe, owiste pasy transmisji.

Pusto jeszcze w ulicy między dwoma szeregami gmachów. Słońce coraz nieznośniej dopieka. Najłżejszy wietrzyk nie studzi upału.

Wtem rozwarły się bramy dziedzińca i wpłynęła na ulicę rzeka ludzka, toczyła się między gmachami i skierowała w pola. Słońce rozlewało nie tylko potoki światła, ale i potoki żaru. Zdawało się, że powietrze drży od gorąca i mieni się jak jakaś płynna masa. Spękana ziemia paliła stopy.

Tłumy wydostawszy się na pola obsiadły bliski wzgórek. Z wszystkich stron nadciągały kobiety niosąc pożywienie. Wśród ciszy i żaru, pod ogromnym obszarem

niebios, spożyły tłumy zasiłek i wnet potwórnianie rozległy się syreny przedziałni.

Po spożyciu zasiłku tłumy legły na ścieżkach i wydmach. Wszędzie widać było twarze blade z upału i zmęczenia. Niektórzy zasnęli. Słońce ziało istnym ogniem, że niemal oddychać było trudno.

W tej ciszy upalnej skronie biją jak młoty, mgła zakrywa oczy, usta wysusza pragnienie.

Tu na wzgórzu spoczywa lud a tam nisko w halach olbrzym przemysłu. Spoczywają jego maszyny, seciny ram, tysiące wrzecion. Śpi wszystko, śpi! Słońce dobiega zenitu, chce świat spalić. Świat legł jak potwór usychający z pragnienia, spoczywa wraz z całym piekłem swego ruchu. Zdaje się, że to jego ostatnia godzina, że już z gorąca wyzionie ducha, że zbliża się okropna chwila, w której wszelkie życie na ziemi ustanie, że pod wpływem zięjących promieni słonecznych roztopi się skorupa tej ziemi, że zamieni się na gorzącą lawę i że w tej lawie pogrąży się na wieki wieków ta kraina fabryczna, miasta, osady, lasy kominów...

Słońce rozlewa coraz większe potoki żaru, coraz to duszniej, skronie biją jak wulkany, dokoła cisza przerażająca, myśl przestaje pracować... Człowiek sobie powiada: Teraz niech ten świat ginie, niechaj ta ziemia się roztapia, serce nie drgnie, usta nie wyszepeczą ani jednego słowa żalu za życiem ginącym w tym skwarze!...

Coraz goręcej, powietrze parzy, przed oczami przeciąga jakiś obłok purpurowy. Ziemia, niebo, wszystko czerwone, strasznie czerwone. Zwolna czerwień ta sinieje, okropnie sinieje, powieka zapada i nagle rozlega się przeraźliwy świst, hałas, zamęt...

Zimny prąd przebiega po całym ciele. Oczy odmykają się, widać tłumy spieszące ze wzgórków, już wpływają w dziedziniec przedzalni. Zawrzały maszyny, śpiący olbrzym fabryczny zerwał się znowu do pracy.

Już nie czuć ni żaru, ni spiekoty, ni okropnego pragnienia! Rzekłbyś, że żar słoneczny wlał się w żyły ludzkie i wypełnił je zapalem i energią. Jakieś nowe siły wstąpiły w tłumy. Grzmiały koła roz-

pędowe, szaleją w wirowym ruchu wrzeczona, snuje się miljon nitek, rozpościera się niby sieć tytaniczna. Powietrze gra z gorąca, gra jak organ, brzmi jak daleka pieśń płynąca z piersi tysięcy... Przędzalnia jak korab potworny płynie po falach światła! Dalej, dalej! Kto tu może być słabym?! Kto tu zwątpi, kto tu zadrży?!... Tu niema ani dawnych cnót, ani nowych, tu niema litości, niema tkliwego miłosierdzia — jeno tu jest jakieś wielkie życie, jakieś wielkie dążenie naprzód, jeno tu są ramiona jak krawędzie skał i charaktery jak góry! Jeno tu jest tłum, tłum wielki jak jeden ogromny człowiek, który wśród tego żaru jeden od-dychać może, jeden nie pada w swej mordernej drodze, jeden wytrzyma ogniową próbę swojego wieku i przez płomieniste morze pracy przepłynie ku nowym łądom istnienia na ziemi!



Papierowy djabeł.

Nad całą okolicą była rozpięta ruda łuna, w powietrzu grała basowa nuta maszyn, wysmukłe kominy rozwijały powoli czarne bandery dymu. Szeroką drogą toczyły się tłumy jak szara rzeka, która na skręcie do walcowni i kopalni tworzyła widły. Zaświstały przeciągłe sygnały parowe, tłumy, karne jak armja, znikły w dziedzińcach, opustoszała droga, basowa nuta maszyn grała coraz donośniej a czarne bandery dymu wyciągnęły się nad okolicą.

Na drodze zaturkotał powóz. Konie biegły szybko. Powóz był szeroki, siedziało w nim czterech ludzi, na koźl: obok stangreta piąty. Wszyscy bacznie patrzyli dokoła, chociaż starali się głów nie odwracać. Siedzący w powozie podtrzymywali dość sporą walizę, nogi zaś opierali na skórzanych workach. Jechali szybko, w milczeniu.

Powóz zatrzymał się przed niskim domem, z którego w tejże chwili wybiegło kilku stróżów z latarniami. Znieśli oni walizę i worki skórzane, policzono je, nie brakowało ani jednego. Weszli do sieni, następnie do dużego pokoju, przedzielonego barjerką. Sędziwy, ale krzepki jeszcze starzec, który wśród wszystkich najczęściej zachowywał spokoju i pewności, wydawał krótkie rozkazy; otworzono żelazne drzwi od ciemnej alkowy, wniesiono tam walizę i worki, starzec drzwi żelazne uważnie zamknął, potem siadł przy stole i obracając szklany wzrok w kierunku żelaznych drzwi, rzekł z uśmiechem :

— No, już tam zamknąłem tego djabła!

Obecni roześmiali się chórem, życzyli mu dobrej nocy i wyszli. Starzec zamyślił się, podparł brodę na rękę i szeptał :

— Póty spokoju, póki on tam zamknięty, ten szatan, ten kusiciel, nim wypuszczę go pomiędzy ludzi...

Ziewnął, wstał, raz jeszcze obejrzał żelazne drzwi i wyszedł. Jeden ze stróżów odprowadzał go do domu. Starzec po drodze mówił :

— Prawda, Karolu, jak to tam dziś idzie robota w walcowni? Aż dudni!

— Prawda, proszę wielmożnego pana kasjera — odrzekł stróż, kłaniając się czapką.

— A jutro to będzie całkiem inaczej? — ciągnął dalej kasjer.

— Ho, ho! — zaśmiał się stróż i machnął ręką.

Nazajutrz odbywała się wypłata. Kasjer przez cały dzień liczył i liczył. Tłumy stały przed kasą. On spokojnie acz z pośpiechem wyliczał pieniądze, spoglądając niekiedy z za okularów swym szklanym wzrokiem, w którym wprawdzie nie było nieufności, ale zato jakaś zimna ostrożność. Liczył cały dzień; już zmierzch zapadał a on liczył i liczył.

W czasie tego basowa nuta maszyn grała za oknami. Ale powoli wmięszwały się w nią i inne tony. Słysząc było jakąś śpiewkę, to wrzask, to znowu gromadne wywodzenie. Tuż pod oknem kilka męskich ochrypłych głosów śpiewało :

Francyjo, Francyjo, ty nieszczansny landzie,
Nie jedna panianka na cia płakać bandzie!

Hu! Ha. ha, ha!

Kilka razy dał się słyszeć przeraźliwy krzyk: ratujcie! — Przerzywano wyplatę, wybiegano przed sień popatrzyć, co się tam dzieje. Ale już było pusto i głucho. I znowu po jakimś czasie wrzaski pijane, krzyki, śpiewy i wołanie o pomoc. Przed kasjerem topniała gromadka, aż nareszcie został on sam wraz ze swoim pomocnikiem.

Za plecami kasjera stały otworem wielkie drzwi żelazne do kasy; paliła się tam na stole świeczka. Obaj znużeni całodzienną pracą milczeli paląc cygara.

Za oknami wrzaski i hałasy wzrosły. Starzec rzekł ironicznie:

— Już wypuściłem go pomiędzy ludzi! O, jak on tam hula! —

W tej chwili dał się słyszeć nieludzki krzyk. Pomocnik wybiegł. Powrócił błady i oznajmił, że opodał przy drodze leży trup, odarty, nóż w gardle...

Starzec zmieszał się, milczał, po chwili zaś wskazując palcem przez plecy ku alkowie, gdzie dogorywała świeczka, rzekł głosem przyciszonym, uroczystym:

— To on wszystkiemu winien... on... ten szatan papierowy... a my go stąd wypu-

szczamy, aby czynił piekło na ziemi...
Przeto my jesteście sługami szatana!

Zamyślił się i rzekł po chwili :

— Czy sądzisz pan, że będzie kiedy
inaczej na ziemi ?

Pomocnik wzruszył ramionami, nie
wiedząc, co odpowiedzieć. Starzec wypro-
stował się, podniósł głowę i rzekł silnym
głosem :

— Będzie ! Musi być ! — a uderza-
jąc się kilkakrotnie po sercu dodał : —
Tu mi mówi, że będzie, tylko... tylko, pa-
nie pomocniku, przestańmy być sługami
jego a rzućmy go w ogień razem z jego
porządkami !

Za oknem zawył wiatr jakimś chicho-
tem. Starzec ubrał się machinalnie, włożył
czapkę na głowę i jeszcze w drzwiach
odezwał się :

— Człowiek stworzył to piekło, prze-
to i człowiek musi mu koniec położyć !





Święto podziemia.

Szala stanęła na dnie szybu. Wzdłuż czarnych ścian węglowych płonęły czerwone światełka, ginąc gdzieś daleko w pomroce. W głębi słychać było przytłumiony gwar głosów i szum wody. Powiał chłód i zakotyła światełkami. Stąpaliśmy chodnikiem wśród ciszy. Gdzieniedzie wynurzały się z zaułków postaci z lampkami w rękach i rzucając nam »Szczęść Boże!« wskazywały dalszą drogę.

Doszlśmy do pochylni. Z ścian kapły krople wody. Kilka z nich padło na moje frakowe odzienie i na jasną sukienkę mej żony. Szeregi lampionów pochylały się w dół i niebawem zaczęliśmy zstępować po pochylni.

Na pierwszym zakręcie ukazała się czarna grota oświetlona purpurowem światłem bengalskiem. Równocześnie zabrzmiała gdzieś bardzo daleko orkiestra. Przyspieszyliśmy kroku.

Pochylnia wiała się w dół coraz niżej a na każdym zakręcie witały nas gromadki górników w swych odświętnych strojach, bluzach ze złotistemi guziczkami, czapczkach biretowych na głowie, skórzanych fartuszkach z tyłu. Mijaliśmy piętro za pięciem. Pochylnia wiodła nas coraz niżej.

Pochylnia ta, świeżo przebita, była dumą górników. Zwiększała ona nietylko ruch kopalni, ale otwierała zarazem dopływ powietrza do niższych pokładów. Gdy przy jej przebijaniu ostatnie ościany skał i węgla padły, powstał tak silny wiatr, że wszystkie lampki górnikom pogasły. Przewiew był więc znakomity. A co najważniejsze, że tej pięciosetmetrowej przestrzeni nie zbryzgała ani jedna kropelka krwi górniczej. Przebicie pochylni odbyło się bez żadnego wypadku.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, oddychając szybko. Odwróciłem się i ujrzałem za sobą w górze, w pomroku, pośród girland świetlnych, schodzący tłum po pochylni. Coraz gwarniej tam było. Lecz nagle w głębi pod nami zahuczał wybuch w chodnikach. Był to sygnał. Ruszyliśmy pospiesznie dalej.

Pochylnia kończyła się. Przed nami rozwarł się chodnik przybrany świerkami i różnokolorowemi lampionami. W głębi chodnika grała kapela. Fala tłumu skierowała się na prawo i tam oczom naszym ukazał się nowy szyb, który dziś mianem »Henryka« ochrzcić zamierzono. Zielone światło bengalskie oświecało jego wnętrze. W dwóch rzędach stali górnicy oddając nam honory. Tłum posuwał nas dalej. Dźwięki kapeli ginęły w chodnikach, zaczęliśmy wstępować po schodach do kaplicy świętej Barbary, patronki górników. I tę kaplicę dziś miano poświęcić. Jest to już druga kaplica w węglowych podziemiach tutejszego zagłębia.

Na chwilę ogarnęły nas ciemności. Minęliśmy wążki krużganek i przestąpiliśmy próg kaplicy.

Była ona już zapełniona aż po ołtarz świeżo przybyłymi. U ścian płonęły kandelabry przystrojone zielenią a na ołtarzu między dwoma palącemi się gromnicami stał kuty w węglu posąg świętej Barbary. Ksiądz oparty plecami o ołtarz patrzył po przybywających tłumach z jakąś zadumą,

jakby je witał i zarazem nad ich losami rozmyślał.

Dziwne rozrzewnienie ogarniało piersi. Zabrzmiała tryumfalnie orkiestra, ksiądz poważnie tłumi ręką przeżegnał a gdy muzyka ucichła, jął mówić.

I mówił nie jak kaznodzieja, nie jak mówca, nie jak nauczyciel, ale jak człowiek prosty, który słów nie dobiera, aby trafić do serca ludzi jak on prostych. Mówił do umysłów maluczkich, którzy wiele przecierpieli i jeszcze wiele przecierpieć gotowi. Mówił jak człowiek, który te cierpienia razem z nimi poniesie i razem z nimi przetrwa. Przeto jego słowa tchnęły nie tylko wielką prostotą, ale i wielką prawdą. Przemawiał on tu w podziemiach, zdała od świata, gdzie wszelka wielkość światowa wydaje się tak małą, tak znikomą, gdzie śmierć grozi na każdym kroku, dokąd nigdy nie przedrą się pocieszające rolnika piękne promienie słoneczne, gdzie świeży powiew nie krzepi w pracy, gdzie jest znój bez uznania, zgon bez bohaterstwa, gdzie przede wszystkim jest jeno trud, gdzie ludzie ten trud taki, jakim jest, podjęli: mó-

wił zrazu wolno, spokojnie, lecz bardzo poważnie i duch jakiś nadawał jego słowom znaczenie ewangelji. Cisza wtórowała tym jego słowom, tylko opary zaczęły wypełniać kaplicę, skraplać się na ścianach i ściekać z cichym szmerem.

»Kiedyś, przed wiekami«, mówił, »pierwsi chrześcijanie chronili się do podziemi, do tak zwanych katakumb, aby tam, zdala od świata, który ich prześladował, głosić słowo prawdy i żyć lepszym życiem«.

I mówił o tych pierwszych chrześcijanach, którzy nie ulękli się żadnych prześladowań, ani mąk najokrutniejszych, jeno szli za popędem umysłu i serca, jeno istotnie lepiej żyć chcieli. I nadszedł czas, że wyszli z tych podziemi, zaczęli głośno prawdę opowiadać i czynić i świat, który ich głosu nie posłuchał, zginął, a który posłuchał, żyć zaczął lepszym życiem.

»Jak ci pierwsi chrześcijanie — mówił on dalej — opuszczamy powierzchnię ziemi, schodzimy do jej ponurego wnętrza, do jej głębokości. Lecz nie jako garstka prześladowanych tu schodzimy, bo czemuże są nasze prześladowania! Schodzimy jako ludzie

wolni pod ziemię, jako zdobywcy jej skarbów nieprzebranych, jako lud zwycięzców, który błogosławioną ręką dotknąwszy martwych ścian podziemia dobywa z ich opok chleb powszedni dla siebie, ciepło i światło dla swego społeczeństwa. Schodzimy w głębię tej nocy wieczystej po siłę, po życie, po nakarmienie głodnych, po ukojenie wielkiej nędzy, jaka jest na ziemi, po zażegnanie troski. Dumni, szczęśliwi jesteśmy, choć nieraz łza w oku zaświeci, choć jesteście ludem wojującym dopiero, choć niejeden tu padnie a żaden z nas nie wie, czy wieczorem obaczy tam w górze wschodzący księżyc nad ziemią. Ale jeśli wrócimy, to z nami wypłynie szalą spokojne sumienie a za nami w głębi pozostanie znowu jeden dzień dobrze spędzony. A ci, którzy wyjdą, wyjdą jak ci pierwsi chrześcijanie i świat, który ich życiem żyć nie będzie, zginie a który ich życiem żyć rozpocznie, póki ta ziemia istnieć będzie, nie przepadnie !«

Przy tych słowach zatrzęsły się ściany od wybuchów dynamitowych. Huk za hukiem potężnie się rozlegał, jak gdyby

swym gromem potwierdzał każdą myśl kapłana. Opary wypełniły całą kaplicę. Ołtarz, ksiądz, tłumy, gromnice i posąg patronki, wszystko widać było za mgłą. Zabrzmiała orkiestra, pochylili się tłumy, ksiądz rozpoczął zwykłą ceremonję, ale strzały w głębi nie ustawały i huczały w podziemiach długo, długo...





Wózek góralski

Wózek góralski toczył się żwawo. Rannek był nieco chłodny, ale prześliczny. Za chwilę miało wejść słońce. Zielone wzgórza dookoła były pokryte rosą, niby muślinem. Niebawem zaczęły wstawać mgły i unosić się nad strumieniami jak biały korowód rannych duchów natury.

Przedemną widniały Tatry, sinawe, potężne. Długo na nie patrzyłem. Wtem z boku zajaśniało coś nisko na niebie, jakiś ogrom błysku i słońce jak oślepiająca kula wpłynęło na błękity. W tejże chwili Tatry zamigotały, zaróżowiły się, rozpały i zaczęły świecić. Ogarnęło mną wielkie wzruszenie, lzy cisnęły się do oczu. Góral zdjął kapelusz i jął się modlić. Ale konie wzniosły chrapy w górę, nozdrzami chwytaly powietrze i biegły ku owemu zjawisku jak gdyby skrzydeł dostały. Wózek tur-

kotał, wiatr smagał mi twarz, upajający chłód wiał po obliczu.

Jakaś rzeźwość, jakiś zachwyty przepełniał mi piersi, rozsadzał je. Znikły mi z oczu pagórki, strumienie, droga, wózek i konie, jeno widziałem tam w dali przed sobą to ogromne zjawisko, te góry palące się, te wirchy oblane ogniem... Zacząłem szlochać, tem zdławionem szlochaniem i tzy zakryły mi wszystko.

Wtem wydało mi się, że słyszę jakiś głos po za sobą, który mnie woła po imieniu. Lęk mnie ogarnął. Zrazu nie śmiałem odwrócić głowy. Ale wołanie powtórzyło się i to znacznie bliżej. Obróciłem się i z wielkiem przerażeniem ujrzałem tam morze dymów, kłębiące się, mętne, a wśród tego morza dymów kominy niby maszty strzelające, niżej posępne gmachy pełne wrzawy i turkotu, w ulicy zbijający się tuman kurzu i spieszącą żonę moją z najmłodszym synkiem na ręku. Za nią podążał tłum, tłum niezliczony, wszystko to zbliżało się ku mnie, płynęło nad ziemią, wyciągało ku mnie ręce, patrzyło na mnie tysięcznym wzrokiem, od którego oczu

oderwać nie mogłem, jeno odwrócony, bez tchu, pół żywy, chyliłem się tam... Gwar głosów i huk stamtąd dobiegał, widniały ręce obnażone, zczerniałe, na przedzie bieleła się postać mej ukochanej a na jej ręku maleństwo wyciągało ku mnie rączyny i jasne oczy tego maleństwa mówiły mi to samo, co blada twarz jego matki, co te tłumne, obnażone i poczerniałe ręce, te twarze ponure i oczy świecące przez morze dymów...

Wózek przystanął. Posłyszałem szum Czarnego Dunajca. Góral poił konie. Wstrząsnąłem się. Widziadła pierzchły. Przedemną tylko widniały Tatry, sine, potężne, spokojne.

Lekki wietrzyk, który zaczął wiać stamtąd, muskał moje rozpalone czoło i szeptał jakieś słowa, zrazu niezrozumiałe, ale tchnące takim ukojeniem, taką otuchą, tyle pocieszenia wlewał w zburzoną pierś moją, że dopiero dziś zaczynam je rozumieć, kiedy jestem znowu w tem morzu, dymów, razem z nimi wszystkimi!...





Wizyta.

Był to piątek. Deszcz lał od samego rana. Pod wieczór zerwał się wicher i nastąpiła jedna z tych ponurych nocy październikowych, wśród której człowiek lęka się samotności, książek, ścian swego domu pustego i pragnie uciekać do ludzi, do serdecznej, ciepłej rozmowy, do uścisku dłoni istoty mu równej.

Wiatr poruszał okiennicami, które skrzypiały w zawiasach. Nad dachem domu rozlegał się jakiś huk, za oknami szumiąły potoki deszczu. Chwilami zdawało mi się, że dom mój jest okrętem i że płynę nocą przez jakieś wiecznie burzliwe przestwory.

I nie tęsknić że tu do ludzi, do ich pogodnych twarzy, do ich zacisznych kątyw!

Wyjrzałem przez sień na świat. Mgła, wiatr, ulewa! Pięć fun ceglanych widniało

na niebie, Rozpinały się one nad niedalekiemi hutami. Z boku jaśniała konstelacja lamp łukowych nad przędzalnią, skąd też i dochodził zgrzyt wrzecion, połączony z jakimś poświstem i jękiem; takie głosy przypominają powieści o jękach dusz czyscowych. Dziwny, niegościnnie świat. Do ludzi, do ludzi!

Postanowiłem wybrać się na herbatę do dyrektora sąsiedniej fabryki, człowieka bardzo uprzejmego i podobno nader wpływowego. Tyle razy zapraszał mnie do siebie!

Wybrałem się.

Przy powitaniu spostrzegłem lekkie zdziwienie na twarzy gospodarza. Z wielką uprzejmością zaprosił mnie do swego wspaniałego salonu, wskazał fotel. Weszła pani domu, córka, syn i jeszcze jakaś kuzynka. Kiedy jednak pomiędzy rodziną wszczęła się żywa rozmowa, gospodarz lekko na mnie skinął i odciągnąwszy na bok z szczerą życzliwością zapytał, kładąc mi obie ręce na ramionach:

- Czy pan ma jakiś interes do mnie?
- Ja? Interes? odparłem zdziwiony.

Zaprzagnąłem pana odwiedzić — noc tak ponura — w domu pusto...

— Bardzo dziękuję, bardzo kochanemu panu dziękuję! — zawołał gospodarz i wróciliśmy do salonu.

Był w pysznym humorze. Podano kolację. Kazał odkorkować niezłą buteleczkę. Gdy już sięgaliśmy dna, rzekł znowu, grząc mi filuternie :

— Ej, panie, szczerść przedewszystkiem! No, o cóż chodzi?

— Jakto, o co? — odrzekłem.

— Pan musi mieć do mnie jakiś interes.

— Z czego pan to wnosi?

— No, piątek, taka pogoda, zresztą pan, który prawie nigdy nigdzie nie bywa...

Zbyłem w końcu tę kwestję milczeniem. Rozmowa i tak ożywiała się przy winie.

Pożegnanie było niewymownie serdeczne. Gospodarz w drzwiach jeszcze ścisnął mnie za rękę, ucałował w oba policzki i żegnając zawołał :

— No patrzcie państwo! a ja myślałem, że pan ma do mnie jakiś interes!





Po dniu wypłaty.

Katarynka grała, tańczono resztą sił, wyziewy wódki i piwa wypełniały całą szynkownię. Karczmarz usypiał za ladą a jego żona ziewała raz po raz walcząc ze snem, który ją opadał.

Kataryniarz oddawna spał w rogu izby skulony i chrapał. Wrzawa nieustawała. Co chwila kto inny stawał przy korbie i kręcił. Wysoki a cienki wyrostek rej wodził, na drugich pokrzykiwał; dziewczuchy garnęły się do niego. Dwie nawet pobiły się o tego bohatera karczemnego. Siedziały teraz na ławie zachmurzone, z idjotycznym wyrazem twarzy; jedna machinalnie uderzała stopą w podłogę, druga od czasu do czasu wyrzucała różne przekleństwa.

Wyrostek tańczył dalej, pijany zupełnie, prawą rękę przewiesił przez szyję jakiejś równie jak on pijanej dziewczuchy, spocone włosy wychodziły mu z pod czapki

przechylonej na bakier, oczy były już zupełnie błędne. Inni, mniej pijani, tańcząc żwawiej popychali ich. Niebawem wyrostek ze swoją dziewczuchą zaczął w tłumie tańczącym zajmować pośledniejsze miejsce. Wreszcie zostali oboje przyparci do jednej z ław i runęli na nią. Wyrostek pochylił się, zaczął bełkotać, dziewczucha przyniosła mu śledzia, on jadł chciwie. Tłoczono się dokoła i popychano w tańcu. Dziewucha wnet z kimś innym ruszyła do pary. Wyrostek legł na ławie, niebawem stoczył się z niej na podłogę. Deptano go, kopano, dopóki nie zapchano do kąta. Dziewucha w tańcu raz nad nim się zatrzymała, zawołała: »o, jak to on charczy!« i tańczyła dalej.

Inni na te słowa zatrzymali się i również mówili, że wyrostek charczy. Potem wybuchali długim, idjotycznym śmiechem i tańczyli dalej.

Znowu dziewczucha zatrzymała się w tańcu, popatrzyła na wyrostka i rzekła: »coś już przestał charczyć!« i znowu inni wybuchali śmiechem i tańczyli dalej.

Powoli jednak zaczęły się ich siły wy-

czерpywać. Para za parą wysuwata się z tańca i stawata przy ścianach. Wnet katorynka ucichła. Dziewucha pochylita się nad wyrostkiem. »Dlaczego on tak cicho leży?« zapytała. Ktoś inny zauważył, że wyrostek dziwnie posiniał. Zaczęto nim potrząsać. Ciało opadało bezwładnie. Strach przejął wszystkich.

Zbudzono karczmarza. Ten chrząkając i spluwając podszedł ze świecą w ręce do wyrostka i ujął go za ramię. Wybałuszył oczy, »Niech no który świecę potrzyman zawołał. Poświecono mu.

Karczmarz ujął w ręce głowę wyrostka, pomacał gardło jego i po chwili, jak gdyby szczęśliwą myślą uderzony, obu rękami rozwarł mu usta i zajrzał w gardło.

— »Żart jak bydle!« zawołał. »Widzicie? Toć on już całkiem zimny!«

— »Zimny?« zawołano dokoła z zabobonnym przestraczem.

— »Bydle« mówił karczmarz. »Co to było tak zreć?! Połowa śledzia poszła z jadem, druga połowa z oddechem. śleść mu utkwiał w gardle i siedzi jak na siodełku!« Wypuścił z rąk głowę wyrostka z nie-

chęcią i obrzydzeniem. Głowa stuknęła o podłogę. »Won mi się zaraz zabierajcie a jego z sobą wynieście, bo będzie jeszcze kłopot« dodał, wypędzając popitych za drzwi.

Wzięto wyrostka na ramiona i wyniesiono go z karczmy. Karczmarz za nimi drzwi zatrzaskał i światła pogasił. Cisza zaległa dokoła i ciemność. Towarzysze i towarzyszki szli niosąc wyrostka, szli cicho, jak gdyby się przekradali. Po pewnym czasie ogarnęło ich takie znużenie, że musieli odpocząć. Złożyli wyrostka przy rowie obok błotnistej drogi. Ci i owi cichaczem poszli dalej. Inni także się usuwali a w mroku nawet nie można ich było dostrzedz. Niebawem pozostała tylko dziewucha, która przedtem z wyrostkiem tańczyła. Ale ją sen zmógł. Siadła przy rowie, coś bełkotała; noc była wietrzna, zaszumiło jej w głowie, usnęła.

Wszedł księżyc na niebo i oświetlił ich. Siny blask padł na ich twarze. Wiatr huczał. Nieopodal stała figura. Tam Chrystus wisiał na krzyżu. I na jego postać padły blaski księżyca.

Po chwili jednak napłynęły ciemne chmury, postać ukrzyżowanego zamroczyła się i również dwie postaci leżące przy drodze zginęły w mroku. I tylko wiatr, jak jedyna żyjąca istota, wiał po polach, poruszał drzewa, uderzał w pochodzie o ściany gmachów, o wieże kościołów, lecąc dalej, dalej, przez noc długą, długą noc, która panowała na świecie...





Tragedja.

Słońce odpłynęło od mego okna, czułem to, chociaż czarna przepaska zakrywała mi chore oczy. Odjęło ono ciepłą swą rękę od mego czoła, ciepłą, przyjacielską rękę. Ręka ta znikła za oknem na długą bezsenną noc. Spoczywałem w fotelu, dokoła kwiaty, jedyne pocieszycielki; wonią swoją opowiadały mi o wiosnie, o młodości, o świetle. Za oknem ciemniało, czułem to doskonale. Jakiś ledwie dostrzegalny chłód wiał na mnie stamtąd. Taki chłód wieje tylko z ciemności.

Przechyliłem głowę na poręcz fotela i próbowałem wyobrazić sobie te kwiaty, które przedemną pachniały. Powoli, na wielkiem czarnem tle zaczęły świecić blado barwy, coraz wyraźniej, jaśniej; aż nareszcie,

zawieszane w ciemnościach, ukazały mi się białe hyacenty, pączki róż herbacianych, zielone listki... Zadrżały mi łyzy pod powiekami, zaćmiły mi te kwiaty; kwiaty poczęły oddalać się odemnie, tonąc w tem czarnem tle; już otaczają mnie ciemności, ciemności, ciemności...

I może nigdy już nie zobaczę słonecznego promienia i życie moje będzie ustawiczną nocą...

Gdzież jest ta potężna wiedza, z której chępią się tak jej alumni, że plotą sobie nawzajem wieńce, która wydarła naturze najskrytsze tajniki i staje się deską ratunku dla nieszczęśliwych?! Czemu ona nie położy swych uzdrawiających rąk na moich oczach? Czyż ona istotnie jest bezsilną w walce z temi niewidzialnymi armjami drobinek, które owarowszy się w mych źrenicach urągają jej pomysłom i środkom?! Na cóż tedy przez tyle wieków ludzie dla niej ponosili ofiary, mozoły, trudy, przesładowania, jeśli dziś, w tak znanym, w tak typowym wypadku...

Myśl ta doprowadzała mnie do szaleństwa. Ale zwolna gniew, ból, żal, wszy-

stko to zamieniało się w odrętwienie. I ujrzałem przed sobą siebie, kroczącego ostrożnie, z wyciągniętymi rękami, oczyma szeroko rozwartymi, pokrytymi bielmem, prowadzonego za ramię... ślepego...

Ha, wyraz ten wydobył się nareszcie z pod całego zwoju obłonek i zajaśniał przedemną nagi, niezatarty. Widziałem go przed sobą w tych ciemnościach i daremnie pokrywałem go innymi myślami. On wynurzał się jak księżyc z za chmur i każda jego zgłoska widniała przedemną, każda wyraźna, przerażająco wyraźna, każda jak osobna tragedia...

I cóż mi pozostało? — Świat mój wewnętrzny? — Ach, tak, jakieś przestwory, gdzie błakają widma zwane Rozumem, Wyobraźnią, Wolą, Myślą... Pójdę za nimi, wejrzę w siebie głęboko, o! głęboko, aż tam, gdzie gniazdo okropne mojej choroby, gniazdo, którego nie mogą znaleźć ludzie posiadający wzrok, szkła... A ja tak dobrze widzę, tak daleko tam widzę, widzę całe wnętrze swoje, każdą komórkę, każdą tkankę, każdy atom! — Widzę tam bój, bój ustawiczny, bój o śmierć i życie!

Rozgrywa się tam wojna pomiędzy tkankami mojego organizmu. Armje, armje z jednej i z drugiej strony! Tkanki zdrowe wiodą bój z choremi. Łączą się w szeregi, oddziały; postępują, tłoczą się. Z jednej i z drugiej strony zbierają się wojska tkanek do napadu i obrony. Pomiedzy te dwie armje wdziera się jakiś motłoch drobinek, tonie w legjonach tkanek chorych, burzy je, buntuje, zagrzewa do walki przeciw najzaciętszym nieprzyjaciółkom. Wojna, wojna! Zaciekły bój ześrodkowyywa się w mych żrenicach. Tam pomięszaly się ze sobą szeregi wrogie, przyjaciół od nieprzyjaciół odróżnić niepodobna, to jak wojna domowa, od której duch mój odwraca oczy, bo jest bezsilny, bezsilny jak cała wiedza, rozum ludzki, wola człowieka...

A przecież, gdy wszystkie filozofje lekarskie bankrutowały, zjawiali się nad tym zamętem ludzie, którzy jednym spojrzeniem i przeciągnięciem rąk uspokajali tkanki i ubezwładniali chore. Odgrywali oni wobec tkanek rolę opatrznosci. Byli to ludzie olbrzymiej woli, gdy siłą wzroku zażęgnywali takie burze. Ach, z jaką

roskoszą poddałbym się ich spojrzeniu, ich woli, ich władzy, wyrzekł się swej indywidualności, niezależności duchowej, byle zedrzeć z oczu tę przepaskę, byle otworzyć powieki i spojrzeć... spojrzeć!...

Niema ich, niema niestety! Ale z pewnością istnieli, musieli istnieć! Ja czuję, że taka potężna wola istnieć może. Tak, może. Czuję sam w sobie jej zarodek. Na samą myśl o tem wola moja z kątów duszy mojej wysunęła się, dzwignęła, urosła i stoi teraz przedemną oczekując rozkazu. Wykona ona wszystko, co zechcę! Jakaś otucha mnie ogrzewa, jestem w tej chwili silniejszy, zdrowszy. Czyżby nie można rozkazywać własnemu organizmowi? Czyż nie można do tego stopnia natężyć swej woli? Wola moja wstępuje we mnie, zaczyna wypełniać całe moje »ja«, staję się cały wola! Jestem jasnowidzącym olbrzymem, spoglądam w głąb mego organizmu, gdzie wre wojna tkanek zdrowych z chorem. Teraz jestem jak bóstwo nad temi zmięszanemi ze sobą zastępami. teraz mam możność wydania losowego wyroku! Wola moja wypełniła cały mój mózg, prądami

rozbiega się po całym organizmie, wypełnia wszystkie tkanki, komórki, atomy! Ale ja ją ześrodkowywam w źrenicach moich. Tam, tam ubezwładnię tkanki chore; już czuję, jak wpadają w popłoch. Nie poprzestanę na ich ubezwładnieniu. One, zostawszy tam, mogłyby każdej chwili odzyskać dawną niszczącą siłę i wszczynać bunt na nowo przeciw mojemu istnieniu, mojej wolności, mojemu wzrokowi! Ja chcę, ja nakazę tkankom zdrowym, aby one z pomiędzy siebie wydalily te ubezwładnione, zarażone cząstki! Tak, pójdę dalej, niż dotychczas się odważono, dokonam tego skupienia siebie, ześrodkowania woli. Będzie to czyn największy, na jaki się Ludzkość zdobyła, najszczytniejszy wykwit woli!... Ja skupiam tę wolę moją... ja chcę... jeszcze jedno natężenie... chwila... a wtedy... ja... zerwę tę czarną...

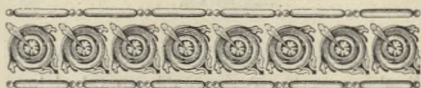
Począłem drżeć na całym ciele. Zimny pot wystąpił mi na czoło. Zaszumiło mi w uszach, opadłem bezwładnie na fotel, zatrzęsła się podłoga...

Po chwili uczułem, że ktoś mi rozkłada na głowie mokry ręcznik i ujmuje za

puls. Ach, to kochany doktorek!... Poprawił mi przepaskę na oczach i szeptał cicho i jakoś tak serdecznie:

— Spokojnie, spokojnie, nie rozpaczać, może to jeszcze przejdzie...





Lampa.

Za czasów mojej guwernerki zdarzyło mi się, żem przebywał w bardzo starym pałacu. Pałac ten podobno kiedyś należał nawet do mojej rodziny; ale wtedy był on już własnością owych bogatych subiektów, którzy, jak powszechnie wiadomo, od pięćdziesięciu lat zajmują w naszym społeczeństwie stanowiska dawnych kasztelanów, senatorów, wojewodów i królików. Pod kamienną posadzką pałacu leży podobno nawet jakiś praszczur. Nie tęsknię do przeszłości, ale nie lubię na cmentarzach historycznych oglądać poustawianych kramiaków szalierzy. Otóż w tym pałacu pewnego razu pod późną jesień zmuszony byłem poświęcić się nieco poduszkom i pieratom. Jakaś niemoc powaliła mnie o łóżko i trzeba było poleżeć. W starym pałacu, w mrocznych murach, jesienią, gdy świszczą za oknem świerki, gdy wiatr gwizda

jak jakieś czyscowe monstrum, każdy zrozumie, że to nie nazbyt wesole. Pozostawiono mnie na szczęście mojej samotności i nie turbowano wizytami ludzi obojętnych, chłodnych jak kora w zimie.

Pewnego wieczoru młoda klucznica (był to twór najśnieczniejszy w całym pałacu) wniosła lampę do mego pokoju. Prosiłem, by ją postawiła przy łóżku na posadzce. Dziewczyna postawiwszy i zapytawszy, czy mi czego nie brak, odeszła. Wysoka komnata była w półmroku; tylko na suficie odbił się od lampy świetlisty krążek, drgał na suficie, migotał. Za oknem był wiatr. Wpatrywałem się w ten krążek świetlisty i powoli zapadłem w stan jakiegoś odrętwienia. Nagle z lampy wyfrunął jakiś czarny kłębek, doleciał do sufitu, począł wirować w krążku świetlistym i przyczepił się całkiem do sufitu. Powoli, powoli, w tym krążku świetlistym czarny ów kłębek zaczął się przewijać, zaczęło się tam coś zarysowywać, jakaś maleńka twarz, figurka skrzywiona, z różkami u czoła — i nareszcie w tym krążku świetlistym odbitym na suficie od lampy począł

się do mnie uśmiechać djablik, kłaniał się nieco szyderczo a ostatecznie przemówił nawet do mnie. Ponieważ mówił uderzająco do rzeczy, więc odpowiadałem i w ten sposób nawiązała się między nami poufna gawędka. Ludzie chorzy miewają w duszy ciemności spowodowane chmarami czarnych myśli. Więc djablik z sufitu począł w ciemności mojego ducha rzucać promyki swoich poglądów filozoficznych i rozjaśniać nieco te mroczne przestrzenie.

— Wy wszyscy jesteście ludźmi chorymi — mówił do mnie z sufitu. — Pan, ojciec pański, matka, siostry, bracia, krewni, powinowaci, pobratymcy, konpatrjoci...

Wpatrywałem się chłodno w tę figurkę. Na to djablik spuścił się z sufitu ku mnie po nitce świetlistej, siadł po turecku na moich piersiach, podparł ręką bródkę i począł wywodzić z pewną filozoficzną zadumą.

— Bo to widzi pan, rozmaicie to bywa na tym świecie. Są kraje pięknych pomarańcz, są kraje głębokich prawd i genialnych odkryć, są kraje pięknych tenorów i nudnych nowelistów, są kraje glu-

pich i mądrych, ale wasz kraj jest krajem niedoła...

Tu jakby lękał się dokończyć. Wpa-trywałem się w niego chłodnym wzrokiem i to go trochę mieszało. Podskoczył tedy na kołdrze, siadł następnie w kuczki i wyciągnąwszy trzy minjaturowe palce przed siebie jął dalej wykładać:

— Widzi pan, to tak. Opowiem panu rzecz w sposób paraboliczny. Dajmy na to, że pan wierzy w niebo i piekło. Otóż kiedy ten pan z »góry« miał stworzyć polaków, ulepił on dużo figurek z gliny, ustawił na słońcu, aby wysychały, i zdrzemnął się. Wtedy to mój pan, ten z »dołu«, o którym niektórzy wasi autorowie mówią, że jest synem boga z nieprawego łoża, i który zawsze lubił psuć koncepty swemu potężnemu rywalowi, zakradł się i w jednych figurkach porobił takie zmiany, że serce wsadził do czaszki a mózg w klatkę piersiową, innym figurkom powbijał świeczki w głowę, innym znowu umieścił pod sumieniem bardzo giętkie resory, innym jeszcze poucinał głowy i pochował do ich własnych kieszeni, ale kilku figurkom ni-

czego nie zrobił, pozostawił je w tym stanie, w jakim zostały ulepione, tylko rzucił im czar na oczy i dał im sokoli wzrok, u rąk zaś pozawieszał niewidzialne ciężary i rzekł: »To będzie typ martwych rąk!«

Zacząłem groźnie wpatrywać się w djablika, lecz ten podskoczył na mej piersi, wyprostował się, podszedł ku mej twarzy, oparł ręce na mojej brodzie jak na katedrze i zaczął mówić cicho, tajemniczo, i niemal szeptem a ten szept mroźny, szyderczy, wnikał mi w kości jak marcowe powietrze. Po chwili zobaczyłem, że z sufitu coraz więcej nadlatywało takich czarnych djablików; siadało to na kołdrze, na poduszkach, jak audytorjum, pośród którego djablik oparty o moją brodę wyglądał jak profesor niemiecki, wykładający o przyczynie i końcu wszechrzeczy. Mówił on:

— Wracając do mojej paraboli zaznaczam: serce w czaszce, mózg w klatce piersiowej, dusze na resorach, głowy w kieszeni, typ martwych rąk... Jesteście ludem martwych rąk i chorych genjuszów. Tak, tak! Niema co mówić!... Śród morza głów

pustych a szumnych jest kilka wysepek umysłowych, które pływają nad temi odmętami; ale one wiedzą, że kiedyś znikną z powierzchni i pozostaną tylko odmęty. Tu się rodzi wasz pesymizm, wasza społeczno-filozoficzna religja. Przecież chyba na tyle jesteście ludźmi oświeconymi, aby zrozumieć i uwierzyć, że zabrakło dla was miejsca na szerokiej ziemi... Jakiegokolwiek idee zabłyszczą na zachodzie i was ogarną, tu czujecie, że one nie dla was i nie dla waszego społeczeństwa... Naród wasz wierzy w ciemności; na to, aby żył dalej, trzeba mu tej wiary; ale jeżeli będzie żył w ciemnościach, to zginie w walce o byt. Błędne koło, z którego was nie wyprowadzą ani wasi patrjoci, ani wasi społecznicy, ani ciekące oczy waszych filantropów! Zalew ze wszystkich stron!... Wierzysz w jakąś trawę ideową? Co powie na to twój rodzic! Chcesz wypłynąć na pasie ratunkowym teorii społecznych? Matka rzuca przekleństwo na twoją głowę! Chcesz poświęcić się dla oświaty głów pustych? Siostry twoje krzyk podnoszą, że bez posagów pozostaną staremi pannami!... Wzy-

wasz brata do spisku? On proponuje ci szklanę zimnej wody i założenie fabryki igieł w Białym-Stoku, niema tylko pieniędzy, ale te się znajdują... Cóż ci wolno? Rozpładzać się!... Lud twój? To aszant w siermiędze... Robotnik? Pojutrze kończy się wojna celna i djabli biorą wasz przemysł... Inteligencja? Czy subjecki, czy powieściopisarze, aktorzy, emerytki?... Poza nimi klub groszorobów, ekonomów, deklamatorów o wychowaniu, bankrutów z ułożeniem... Palcam! was wytykają... Gdzie są owe ideały? Ha, u was one pleniły się, jak w każdym kraju, gdzie one krzewią się i stoją w odwrotnym stosunku do wartości narodu, jak u żydów, gdzie powstał Chrystus i apostołowie, jak w Egipcie, gdzie się narodziła wasza moralność chrześcijańska... Czem są te bajki waszych prababek, babek i matek?... Czem wobec potęgi kulturalnej zachodu, wobec potęgi bagnetowej wschodu, kul manlicherowskich i siły finansowej, czem ten wasz spłowiwały łachman narodowy... Czem wy... wy... plemię marzycieli... ignorantów... pyszałków... bankrutów... niedołęgów!...

Oczy jego nabierały barwy fioletowej, twarz siniała, przez wydęte nozdrza buchała wściekłość, rósł, pochylał się nade mną jak obłok a dokoła chmary czarnych djablików na kołdrze, na poduszkach, na poręczach łóżka, chichotało to z jakąś wściekłością, wytykało mnie palcami, podlatywało, szydziło...

Jakaś niemoc mnie ogarnęła. Czułem u rąk owe »niewidzialne ciężary«. Z niewymownem przerażeniem wpatrywałem się w te legje czarne, maleńkie, podlatujące, szydzące, chichoczące, wytykające palcami...

Zamierało we mnie życie. Nagle z trzaskiem rozwarła się podłoga, ucichło wszystko i wśród przerażającej ciszy, miarowym krokiem z podziemia po kamiennych schodach wyszedł kościotrup jasny, biały, ów kościotrup praszczura, postąpił ku mnie, siadł na łóżku, ujął mnie za rękę rozpaloną i położył dłoń mą na swych nagich żebrach, które podnosiły się i opadały, i rzekł do mnie głosem podobnym do huku gromu:

— Czy czujesz... tu... tu... bije jeszcze?..

Tak!... Tam... pod nagiemi żebrami... u kościotrupa tego... zdało mi się wyraźnie... a w nas żywych?...


Krzyknąłem okropnie i zemdlałem.

Kiedy do siebie zacząłem przychodzić, ujrzałem jak biegano po pokoju ze światłem, cały pokój był pełen sadzy z lampy, ktoś mi rękę położył na głowie i jakiś głos niewieści krzyknął nademną:

— Ależ wynieście z pokoju tę kopcącą lampę i otwórzcie okno!

Po chwili powiał zimny prąd powietrza i z pokoju całe chmary czarnych diablików poczęły przez okno wylatywać na świat, gdzie szalał wicher jesienny i świszczały świerki,





Rozdwojeni.

Pociąg wybiegał ze stacji. Noc była ciemna i wietrzna. Potężny parowóz Szwarckopfa drżał ciągnąc długi szereg węglarek. Szybko znikaly światelka stacyjne. Maszynista i pomocnik pilnie śledzili tor przed sobą. Lamy parowozu rzucaly snopy światła na kilkanaście metrów po szynach. Ale dalej?... Dalej noc i w tę noc leci się jak na złamanie karku.

Pomocnik spojrział z ukosa na maszynistę. Nie rozmawiali dziś z sobą. W rozdrażnieniu zamienili kilka ostrych słów i to ich rozdwoiło. A pociąg leciał i leciał.

Torem tym o każdej porze dnia i nocy snują się gromady robotników, ciągnące do pobliskich kopalń. Pociąg zaczął staczać się z góry. Parowóz przestał pracować, ale zato z tyłu grzmiały wagony coraz potężniej.

Pomocnik patrzył ustawicznie na tor przez okienko. Nagle wydało mu się, że widzi w dali jakiś ciemny punkt między szynami. Szybko przymknął oczy; po chwili otworzył je i spojrział znowu. Tak jest! Ten punkt już się nawet powiększył. Ale daleko był on jeszcze od przestrzeni, na którą padało światło lamp parowozu.

Czy maszynista nie dostrzegł tego punktu? A jeżeli nie dostrzegł, czy ostrzedz go? — Pomocnik rzucił na niego pytające spojrzenie; lecz w cieniu zarysowała się twarz chmurna, gniewna i pomocnik stracił ochotę do rozmowy. Niech się dzieje co chce! Wszak maszynista za wszystko odpowiada, nie on! A nuż to tylko przywidzenie? Jeszcze gotów go wyśmiać!

Pomocnik wyjrzał jednak znowu na tor. Tym razem nie dostrzegł owego punktu. Może w tej chwili gorzej widzi?... A nuż to istotnie było tylko przywidzenie?... I w tej chwili był kontent, iż nie uległ pierwszemu porywowi i nie zwrócił się do maszynisty.

Przetarł oczy i spojrział. Ależ... maszynista chyba dziś oślepl! Toż ów punkt

urósł przeraźliwie!... To cień... cień ludzki!... Pomocnik zwrócił się ku maszyniście. On chyba istotnie oślepl!... Toż tam... na szynach... teraz widać już całkiem wyraźnie... jakaś stara kobiecina idzie przed pociągiem między szynami... stąpa jak głucha... przygarbiona... podpira się kijem...

Teraz nie pora do namysłu!

Pomocnik chwycił gwałtownie za rączkę gwizdawki, rozległ się przeciągły świst, wnet potem zgrzyt hamowanych kół pociągu. Teraz i maszynista dostrzegł nie szczęśliwą kobiecinę; ze ściągniętymi brwiami pochylił się ku okienku i zaklął straszliwie. Już snopy światła padły na staruszkę. Pociąg grzmi a grzmi. Jak tu powstrzymać tę huczącą lawinę! Leci ta potworna masa wśród świstu i zgrzytu, przestrzeń zmniejsza się z przerażającą szybkością, stara coraz bliżej... Teraz posłyszała lecącą burzę za sobą... Obraca się... Podnosi ręce... Upuszcza kij... Jeszcze jedna chwila... pół chwili!... Uskocz na bok, kobieto!... Ba, któż dosłyszy głos ludzki w tym huku! Lamy świecą przeraźliwie jasno, potwór leci, zbliża się... teraz... Ha!...

Pomocnik zakrył oczy a pociąg jak grzmot przeleciał po szynach nad kobieciną, wyrzucił kłęby pary, zazgrzytał i wreszcie stanął.

Zadął chłodny wiatr. Maszynista zeskoczył z parowozu, za nim ruszył pomocnik; ale wnet zawrócił, nie miał odwagi iść dalej, obszedł tylko dokoła parowóz, zatrzymał się przy lampach, spojrzął na bufory i drgnął... Jeden bufor był lekko krwią zbryzgany.

Widocznie biedna kobiecina chciała w ostatniej chwili wyskoczyć po za szyny i nie zdążyła. Bufor powalił ją i rzucił pod koła.

Niebawem wrócił maszynista. Spojrzeli na siebie ponuro. Pociąg ruszył dalej i grzmiał znowu przez czarną noc, wpadał na stacje, dyszał parą, leciał a leciał.

W kilka tygodni po wypadku przeniesiono maszynistę w inne strony. Nie jeździli zatem więcej ze sobą. Wszystko zresztą biegło zwyczajnym trybem, tylko pomocnik zmienił się, nieco postarzał, wymizerniał, stał się milczącym i unikał dawnych znajomych. Raz tylko przed je-

dnym z nich zwierzył się, że nie może sypiać spokojnie. Bo od czasu do czasu śni mu się lecący pociąg, śni mu się on sam, jak stoi na parowozie, jak śledzi tor przez okienko i widzi idącą przed pociągiem starą, przygarbioną i podpierającą się kijem kobietę; padają na nią snopy światła; już, już pociąg ma wpaść na nią, gdy w tem ona obraca się, podnosi ręce i woła śród huku i zgrzytu przeraźliwym głosem: »Zabiłeś mnie!« — Wtedy budzi się on cały spocony, zmęczony i do rana już zasnąć nie może.





Dzieci bruku.

Stolica szalała. Wszystkie okna gmachów były rzęsiście oświetlone. Sanie za saniami sunęły, brzęcząc janczarkami. Wiatr uciszył się; śnieg padał wielkimi płatami i siał się po bruku.

Ostatni wtorek! Z wielu domów odzywały się dźwięki muzyki. Wesoło, ach, wesoło! Choć w sercu kryje się ból, przecież na twarzy wykwita uśmiech. Lżej jakos z tym uśmiechem...

Trotuarem szedł malec z rękami w kieszeniach, czapką nasuniętą na oczy. Pogwizdywał, może więcej z przyzwyczajenia niż z nadmiaru wesołości, bo twarzyczka posiniała mu od chłodu, bo niekiedy przystawał i tupał wykoszlawionemi butami, lub uderzał nogami o ściany domów dla rozgrzania się. Kilka razy zaczepił przechodniów prośbą o wsparcie. Każdy od-

wracał się i spieszył dalej. Chłopak nie uzebrał dotąd ani grosza.

Wtem wybiegł z sąsiedniej ulicy malec równy jemu wzrostem, może bardziej odarty, bardziej mizerny. Biegł jednak wesoło, niekiedy nawet wyskakiwał pogwiżdżając hulaszczko. Chłopcy poznali się.

— Antek!

— Kubuś!

Powitali się i w tej chwili musieli uskoczyć w bok, gdyż z brzękiem przeleciały paradne sanie i o mało ich nie przejechały. Kubuś pochylił się, zbił kulę z śniegu i rzucił za saniami tak zręcznie, że trafił w wielką niedźwiedzią czapkę woźnicy.

— A masz! zawołał za nękającymi saniami.

Potem zwrócił się do Antka i rzekł gorzko:

— Karnawał!... To ci karnawał! Gra mi do tańca we wszystkich kiszkach!

— Podle jest, dorzucił pochmurnie Antoś.

Milczeli chwilę.

— Jadłeś dziś? zapytał Kubuś.

— A ty? spytał Antoś.

Spojrzeni sobie w oczy. Kubuś oparł się o ścianę i rzekł:

— Zimno!

— Zimno! rzekł jak echo Antoś, otrząsając się.

Znowu przejeżdżały sanie. Z jednych zabrzmiał serdeczny śmiech kobiety. Kubuś popatrzył za saniami i rzekł:

— Lubię jak jest wesoło!

— Zjadłbym co, szepnął Antoś. Żle jest być głodnym.

Kubuś na te słowa bardzo spoważniał i rzekł:

— Oh, to już bardzo źle, kiedy się jeść chce!

Znowu pomilczeli chwilę. Wtem Kubuś wyskoczył na sam środek ulicy, świsnął przeraźliwie i wrzasnął na całe gardło:

— Eh, pał sześć!

Poprawił czapkę i krzyknął do towarzysza:

— Antek, bywaj zdrow!

I poleciał ulicą. Antek popatrzał za nim, wsunął ręce głębiej w kieszenie i powlókł się ulicą, nasuwając niekiedy więcej czapkę na oczy.

A stolica szalała, szalała, jakby jutro miał nastąpić koniec dzisiejszego świata...

Antek popatrzył w okna gmachów, dumiał długo, dumiał.. Może zdawało mu się, że tej stolicy tak wesoło, jak Kubusiowi?...





Dwa cienie.

Orkiestra grała upajającego walca. Wznoszono toasty za toastami i odczytywano telegramy. Stoły były przystrojone w kwiaty, obnoszono najwykwintniejsze potrawy. Panowała powszechna wesołość. Przy głównym stole siedzieli obok siebie pan młody i panna młoda. Za każdym z nich stał cień oparty o poręcz krzesła. To była Przeszłość jego i Przeszłość jej.

Za krzesłem pana młodego stała brudna nędzarka z twarzą nabrzęklą, trędowatą, rubaszną, hulacką, o czole niskim, bezmyślnem, o zwroku bezczelnym, wyzywającym, o uśmiechu cynicznym, brutalnym. Na szczęście nikt jej nie widział, bo inaczej dziwnie by ona odbijała od swego pana, mężczyzny w sile wieku, przystojnego, o czole wyniosłem, znamionującym odwagę i charakter, o wzroku czystym, uśmiechu spokojnym i pogodnym. Któż by

powiedział, że ta nędzarka to on, ten przy-
stojny mężczyzna, pogodny, pełen życia
i powagi zarazem?

Za krzesłem panny młodej stał cień
kobiety nagiej, wątłej, suchej, o twarzy
pokojówki trochę podniszczonej; miała ona
jedno biodro znacznie wyższe od drugiego,
tak, że można ją było uważać za ułomną.
Panna młoda, siedząca przed nią na krze-
śle, miała figurę tak wysmukłą, twarz tak
świeżą, jak majowy poranek: wodziła je-
dnak niespokojnym wzrokiem po otoczeniu,
jakby w obawie, czy tego cienia za jej
krzesłem nie postrzeżono... Ale nikt go nie
widział, podobnie jak cienia stojącego za
krzesłem pana młodego. A przecież przez
czoło pana młodego przebiegła lekka
chmurka i aczkolwiek on dokładnie nie roz-
poznawał cienia stojącego za jej krzesłem,
to go przeczuwał; w oczach jego prac-
owała jakaś myśl, jakiś domysł; chociaż do-
mysł ten plątał się w przypuszczeniach, to
jednak z każdą chwilą stawał się on wy-
raźniejszym, jaśniejszym, stawał się pewni-
kiem. Aż nareszcie panna młoda drgnęła,
bo na twarzy pana młodego pokazał się

uśmiech bolesno-ironiczny. Tak, teraz on tam za krzesłem dostrzegł tę postać i ona nie była w stanie zapobiedz temu. Pobladała, uniosła się na krzesło, chciała uciec od biesiady weselnej, lecz sił jej zabrakło i opadła napowrót na krzesło. I tego jej ruchu nikt nie widział, nikt, prócz pana młodego. On jednak spojrział na jej brylanty, na djadem we włosach, na stoły zastawione kryształami i srebrem, na żyrandole tryskające światłem żarowem, na przepych sali; spojrział na cień nędzarki, stojący za jego krzesłem, popatrzył badawczo na pannę młodą, wyczytał w jej wzroku, że ona tego cienia za jego plecami nie widzi, czy też nie chce widzieć, rozpogodził czoło, uśmiechnął się, pokręcił z powagą wąsa, nachylił się ku niej i złożył na jej białej ręce długi, znaczący pocałunek, na który ona odpowiedziała nerwowem ściśnięciem jego dłoni...

I w tejże samej chwili oba cienie, stojące za ich krzesłami, podały sobie pofale ręce na znak zgody i porozumienia.





Sarenka.

Przyniósł ją z boru leśniczy trwożną, wylękłą. Za najlżejszym szelestem drżała jak listek osiny i tuliła się. Ogromne psiska podwórzowe, Wisła i Zagraj, skoczyły ku niej wyjąc zajadle i ledwie udało się stróżowi psiska te zapędzić do hudy. Ale Marynia zaczęła sarenkę głaskać, pieścić. przyniosła jej mleka i biedna sarenka pozwoli ośmieliła się, zaczęła się weselej rozglądać, nawet w końcu i podskakiwać; po kilku dniach bez obawy biegła po całym domu i ogrodzie a po kilku miesiącach nie stroniła już nawet od hudy Wisły i Zagraja, które do niej podbiegały skomlać, lizały ją, układały się, piszczały, łaszcząc się do Maryni i do jej przyjaciółki sarenki.

Marynia całymi godzinami siadywała na końcu szpaleru przy furtce, do której

bór przylegał. Sarenka u jej nóg. Sarenka spoglądała w oczy Maryni swem spojrzeniem miękkim, dziecięcym, pełnem ufności, że w Maryni znajdzie opiekunkę i obronę w złej przygodzie. Za furtką szumiał bór, tam była swoboda, towarzyski! Ale sarenka nie tęskniła do boru, swobody, towarzyszek. Leżała u nóg Maryni i spoglądała jej w oczy. Marynia była jej towarzyszką.

Poblakły kwiaty, pożółkły liście, pochmurniało niebo i sposepniał bór. Potem zaczęły spadać płaty śniegu, ziemia pokryła się białym całunem zimowym. A sarenka rosła i rosła. Po straszliwych mrozach znowu dmuchnęły cieplejsze wiatry, zagrzało ożywcze słońce, potopniały śniegi. Nadbiegła wiosna ubierając ziemię w suknię zieloną i przystrajając ją kwiatami. I znowu Marynia siadywała ze swoją sarenką u furtki. Ale sarenka, duża naówczas, coraz niespokojniej zaczęła obracać się w stronę boru, wietrzyć, rozglądać się. Pewnego wieczoru, przy księżycu, sarenka była niezwykle niespokojną. Jakiś cień ukazał się przy furtce. Przestraszona Ma-

rynia zwróciła ostrożnie głowę w tę stronę i ujrzała za furtką wśród krzaków łeb rosnącego jelenia z wspaniale rozwiniętymi rogami.

Nazajutrz Marynia daremnie po całym ogrodzie szukała sarenki. Nie było jej nigdzie. »Niewierna przyjaciółko!« szepnęła. Upłynęło dużo, dużo miesięcy. Już o sarence prawie zapomniano.

Razu pewnego, zimowym wieczorem, Marynia w ciepłym futerku zaszła szpalerem pod furtkę. Śnieg pochylał konary świerków ku ziemi. Po niejkiej chwili zdało się Maryni, że ktoś przed nią stoi i na nią patrzy. Podniosła oczy i ujrzała za furtką straconą swą sarenkę. Wybiegła ku niej radośnie, lecz spłoszona sarenka poskoczyła w bór. Marynia próbowała zbliżyć się ku niej, sarenka znowu odbiegła, lecz po chwili zatrzymała się i spojrzała ku Maryni. Marynia szła za nią ustawicznie, zrazu powoli, potem prędeej. Sarenka biegła przed nią w podskokach, ciągle spoglądając po za siebie, czy dawna jej przyjaciółka istotnie za nią idzie. I tak prowadziła sarenka Marynię w bór głębo-

ko, gdzie widocznie nigdy nikt nie zachodził. Nagle sarenka skoczyła w gąszcz i znikła. Marynia stanęła nie wiedząc, w którą obrócić się stronę, gdy w tem w gęstwinie posłyszała ciche beczenie. Przedarła się przez gąszcz i ujrzała zaciszną kotlinkę a wśród niej na legowisku dwie małe sarenki, maluchne i drżące, przy maleństwach ujrzała matkę, niewierną swą przyjaciółkę, która ją porzuciła dla boru, miłości i macierzyństwa. Maryni oczy łzami zaszyły. Zbliżyła się ostrożnie ku maleństwu, głaskała je. pieściła, tuliła; matka patrzyła jej w oczy swem spojrzeniem miękkim, spokojnem, ufnem, jak gdyby jej coś chciała powiedzieć. W borze robiło się mroczno.

Szczęściem, że nastąpiła noc widniejsza i że księżyc nad ów bór wypłynął. Po godzinie wędrówki i błakania się spotkała Marynia ludzi z latarniami, którzy po nią wyszli na poszukiwania, gdyż cały dom był zaniepokojony jej zniknięciem.

Choć Marynia następnych dni usiłowała odwiedzić legowisko swej przyjaciółki, to jednak mimo kilkogodzinnego

błądzenia po borze nie mogła go odnaleźć i znowu na długo poszła sarenka w niepamięć.

Poszła w niepamięć, bo i z szerokiego świata do tego pięknego zacisza ktoś zawitał, za którym Marynia poczęła niespokojnie wyglądać z okien domu, ilekroć parę dni nie nadjeżdżał. W domu zaczęto szyć wyprawę. Potem odbyły się zaręczyny. W końcu zjechała się cała rodzina ze strony tej i tamtej, przyjaciele, przyjaciółki; pocztą nadeszła ślubna suknia, pan młody przywiózł obrączki.

Druchny wesole, młodziutkie, otoczyły Marynię; przez cały wieczór śpiewały jej starą piosneczkę:

..Ostatnią nockę będziesz u matuli spała
..A jutro będziesz swoje gospodarstwo miała!... ..

Gdy druchny się zanosily od śmiechu, wówczas narzeczony nachylił się ku Maryni... akurat nikt nie widział... i wtedy... po raz pierwszy...

Marynia przed nim uciekła do ogrodu. Pałała jej głowa. Była ona pod wpływem jakiegoś odurzenia, pragnęła być sama, w ogrodzie, zdaleka od tego gwaru. Noc

była cicha, widna, księżycowa. Marynia przeszła przez cały szpaler, znalazła się u furtki, siadła na ławeczce i zadumała się.

»Jutro?... Co to będzie jutro?... To wstanie jakieś inne, jutro, do dzisiejszego niepodobne!... Czego ono od niej wymagać będzie?... Cóż ona mu będzie winną?«.....

Wtem za furtką postyszała lekki szelest. Zerwała się z ławki przerażona. Po między świerkami poruszały się jakieś cienie. Tu blisko szarzała... ależ to jej sarenka!... A tam te dwie trwoźniejsze... to młode... Sarenka!... Tu, tu, tu!... Pójdź, pójdź!...

Sarenka stojąc za furtką spoglądała na Marynię tym swoim wzrokiem wiecznie ufnym a za nią stojąc gapiły się ku Maryni dwie młodziuchne sarenki, wybiegające dopiero na świat, może po raz pierwszy, za matką, za przewodniczką.

Ta matka patrzyła w oczy Maryni długo a wzrok jej mówił coś, czego Marynia zrozumieć nie mogła, ale spoglądała w te oczy z zapytaniem, jak młodsza przyjaciółka w oczy doświadczeńszej przyja-

ciółki. Sarenka niekiedy odwracała głowę ku młodym i znowu patrzyła na Marynię...

Wtem wśród szpaleru dało się słyszeć przyciszone wołanie: »panno Marjo, panno Marjo!« Sarenka na to wraz z młodemi pierzchła, raz jeszcze obejrzała się ku Maryni i znikła wśród świerków.





Szatan.

Kiedy Jan miał żenić się z moją siostrą i potem tak bardzo ją unieszczęśliwić, śniło mi się pewnego razu, że pod wieczór siadł z siostrą przed domem na ulubionej naszej ławeczce.

Wieczór był letni, cichy, śliczny. Dookoła pachniały lipy. Żaden listek nie poruszał się na drzewach. Było nam błogo, dziwnie błogo. Tak błogo może być tylko we śnie. Błogość ta spływała z przeczystych niebiosów, ze słońca, z lip, z kwiatów. Ta błogość przepętniała nasze serca.

Wtem przejął mnie jakiś nieprzyjemny dreszcz, jak gdyby powiał na mnie chłód od ściany lodowej. Drgnąłem, odwróciłem głowę i ujrzałem stojącego opodal szatana. Miał on postawę Jana, był w ubiorze Jana.

równie starannym i poważnym; tylko twarz miał inną, więcej bladą i więcej martwą.

W tej samej chwili spostrzegła go widocznie i siostra, bo twarz jej powlekła się bladością, krzyknęła z przerażenia i uciekła do domu. Pobiegłem za nią czując, że stanie się jakieś nieszczęście.

Ale on podążył za nami, twarz jego zapłonęła jakąś wściekłością i zaledwie stąpił na próg naszego domu, gdy ten nasz cichy dom z okropnym trzaskiem zawalił się i zamienił w straszną ruinę, pełną urwisk, przepadlin i pieczar.

Na chwilę straciłem pamięć, nie rozumiejąc jeszcze tego, co się stało, gdy w tem posłyszałem przeraźliwy krzyk siostry.

Po urwiskach i gruzach, nad przepadlinami, ulatywała ona z wyciągniętymi rękami, jak gdyby szukała rozpaczliwie schronienia, z oczami błędnymi, twarzą bladą, na której odbijał się paniczny przestrah, z suknią, zaczepiającą się o ostre głązy i rwącą się w strzępy. A za nią ze zwinnością szaloną drapał się on po urwiskach, to biegł między głązami, wyciągając ku

niej ręce o palcach, podobnych do szponów, dysząc ze zmęczenia, czy wściekłości. Stawało się coraz mroczniej wśród ciemnych ruin naszego domu. A jednak widać ich było, postać jej ulatywała nad urwiskami jak mgła biała a jego postać za nią czerniła się w jakimś odbłyску sino-pąsowym.

Chciałem krzyknąć, lecz czułem, że jakaś siła pozbawiła mnie głosu. Usiłowałem biec tam, lecz ta sama siła przykuwała mnie do miejsca. I tylko mogłem patrzeć i drętwieć. On stawał się coraz straszliwszym; dyszał, rżęzał, oczy jego gorzały, nozdrza były rozdęte, twarz konwulsyjnie wykrzywiona. Kilka razy już miał ją uchwycić; lecz ona wymykała się z jego rąk, aż nareszcie spostrzegłszy mnie i jakby czując, że tu jedyne zbawienie, zwróciła się w moją stronę, pędem nadbiegła, rzuciła mi się na szyję, przechyliła przez ramię i na pół zemdłona wybuchnęła szlochaniem, bezsilna, nie zdolna do dalszej ucieczki.

Lecz i on już nadbiegł. O kilkanaście kroków przedemną zatrzymał się nagle.

Spojrzałem w tę twarz, w te oczy. I jak gdyby go jakaś niewidzialna potęga pchnęła z całą mocą, zatoczył się wstecz kilka kroków, znowu stanął, pasował się z sobą, próbował skoczyć naprzód i nie mógł.

Wtedy powiódł swemi gorejącemi oczami dokoła po przepadlinach ciemnych, po tych strasznych ruinach domu naszego, spojrzał na mnie, na omdlałą siostrę moją i wybuchnąwszy okropnym, szatańskim śmiechem: « ha, ha, ha, ha! » zapadł się pod ziemią.



Życie.

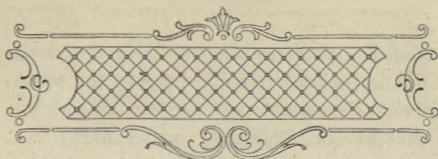
Gdy dziecko na świat przychodzi, zjawia się natychmiast przy kołysce niewidzialny dla oczu rodziców mężczyzna, otyły, rubaszny, nabrzękły jak piwowar. Stawia on przy kołysce dziecięcia ogromną, ale równie niewidzialną beczkę, nalaną różnemi kłopotami i zgryzotami, siada, spogląda to na dziecię, to w stronę beczki, uśmiecha się jowialnie i cmoka językiem.

Dziecię, podrastając, zaczyna beczkę spostrzegać i z przerażeniem wyciąga rączyny ku matce. Ale ów mężczyzna uśmiecha się dobrodusznie, wyrozumiale, sięga do kurka i mówi:

— Pij, bracie, to twoja porcja!

Każdy z nas patrzył z przerażeniem na tę olbrzymią beczkę i każdemu z nas zdawało się, że jej zawartość w żaden sposób nie pomieści się w brzuchu...

Gdzie tam! Pomieści się daleko więcej... Czasem ów rubacha przystawi drugą beczkę... I ta się pomieści...



Człowiek pracy.

Przedemną stół papierami zarzucony...
ważnemi papierami. Oczy zmęczone jeszcze
od wczorajszego dnia nie odróżniają liter.
Przymrużyłem je...

I w tej że chwili niewidzialne ręce
uniosły mnie w przestwory. Wszędzie prze-
strzenie... Wiszę wśród tych przestworów
szarych, głuchych.

Daleko, gdzieś bardzo daleko widzę
gromady krążących czarnych punkcików.
Wyłaniają się z przestworów, coraz ich
więcej. Tworzą one dokoła mnie pasmo
żałobne. To czarny korowód globów!...
Ale jak tam cicho!... To światy, wiekuiste,
bezmierne światy!...

Jak cicho dokoła, jak majestatycznie
cicho!

Zwolna przestwory szare ciemnieją
a globy zaczynają świecić. Ukazała się

podemną kulista ziemia, bieży ku mnie w górę, widnokregi jej strzelają we wszystkich kierunkach, już zakryły mi połowę wszechświata. Nademną nocne niebo wyskrzone gwiazdami. Dokoła krainy płaskie, senne, dalekie. Cichy wiatr, jedyny mieszkaniec, przebiega te dale. O jakże samotno i cicho! O, jaka Wielkość kroczy przez te ciche i puste dale!

Wtem ziemia poczęła się garbić — i powoli, niby widziadła, zaczęły z niej wyrastać grody, miasta, kamienne morza gmachów. Znikły posępne puszcze. Wszędzie rozlega się przygłuszony gwar, ściany i ściany, zakrywają one cały świat, ledwie widać jeszcze wąski skrawek nieba. W gmachach huczy jakaś burza tonów i świstów; nad gmachami toczą się czarne strumienie dymów. Ulicami płynie jakaś szara masa, to suną tłumy, suną szybko. Wszystkie twarze do siebie podobne, jednako blade, wypłowiałe, lekko zaognione. Ludzie ludzi mijają obojętnie, rzucając sobie niekiedy zawistne spojrzenia. Suną tłumnie, biegną, lecą, gorączkowo, dalej a dalej, jak gdyby cel, za którym dążą, dał się za życia tylko

z najwyższym mozołem doścignąć. Jest to jakiś rozpaczliwy pościg wszystkich, pełen okropnego niepokoju, obłąkania. Stoję w pośrodku tych toczących się potoków ludzkich, chcę je powstrzymać, przemówić do nich, zawrócić. Nikt mnie nie słyszy, nie widzi nawet. Fala ludzka uderza we mnie, łamie mnie, unosi ze sobą. Nie wiem już sam, dokąd płynę, nie widzę niczego, prócz tłumów bezładnie naprzód lecących, zziających, padających i zrywających się z konwulsyjnym wysiłkiem.

Nad gmachami przewalają się coraz czarniejsze kłęby dymów; dołem grzmi w nich coraz donośniej burza tonów i świstów.

Wtem miotająca się fala ludzka rzucała mnie pod ścianę jakiegoś gmachu. Ściana ta otworzyła się i za mną zamknęła. Znikły mi z oczu tłumy, widzę już tylko salę szarą, posępną, zastawioną szafami i stołami, przy których siedzą w milczeniu jakieś cienie. Lecz i to niknie mi z oczu i teraz widzę już tylko przed sobą stół papierami zarzucony, od którego wieczorem odchodzę z oszołomionym, wyczerpa-

nym umysłem, a po nocy, którą przespa-
łem snem martwego kamienia, powracam
znowu do tego stołu, na którym już mnie
czekają nowe papiery... ważne, bardzo
ważne... niecierpiące zwłoki papiery!...





Ołowianka

Razu pewnego miałem następujące widzenie.

Śniło mi się, że się znajdowałem na małej barce pośród niezmiernych przestworów morskich. Błękitna kopuła niebieska unosiła się nad spokojnymi wodami a w zenicie gorzało słońce.

Dokoła było morze, ciche, przejrzyste morze. Ten przestwór morski miał być duszą ludzką.

Pomyślałem sobie wtedy: jakże spokojnem jest dzisiaj to morze! Ileż to razy burze łamały to jego zwierciadło, ileż razy ono wśród groźnego zamętu występowało z brzegów! Ileż orkanów wstrząsało jego głębią bezdenną!

Bezdenną?

Kiedyś przepłynąłem to morze od zachodu do wschodu i od południa aż do

jego północy. Dziś zapragnąłem poznać jego głębię, głębię morza duszy ludzkiej.

Rzuciłem ołowiankę w głąb tak przejrystą, że można było dna dosięgnąć okiem. Ołowianka zapadła, sznur rozwijał się szybko, potem wolniej, coraz wolniej, aż nareszcie zauważyłem, że ołowianka przestała się zanurzać.

Z nerwowym niepokojem spojrzałem...
ha, brakło mi sznura!

Jąłem go szukać wśród barki, pod deskami pokładu, w końcu też znalazłem dwa spore pęki, nawiązałem, rzuciłem; ołowianka zaczęła znowu opadać a ja oddychałem gorączkowo, jak przed rozwiązaniem palącej zagadki. Lecz nagle sznur lekko drgnął w moich rękach i głos cichy, podobny do głuchego tonu ołowiu, dobiegł mnie z głębi po sznurze:

»Daremnie zapuszczasz mnie w tę głąb niezbadaną, jeżeli po to tylko zapuszczasz, aby jej dna dosięgnąć!«

— Ołowianko, szepnąłem jakby sam do własnych myśli, czy dna ty nie widzisz, kiedy ono stąd wydaje mi się tak bliskiem?

I znowu sznur lekko drgnął w mych

rękach i głos jak ton ołowiu dobiegł mnie z głębi po sznurze:

»Dno widzę, zdaje mi się nawet, że wyraźnie; ale chociaż mnie ustawicznie głębiej zapuszczasz, ja się do niego nie zbliżam!«

Gniew mnie ogarnął. Jąłem z gorączkowym pośpiechem rozwijać sznur, gdy wtem on silniej drgnął w mych rękach i z głębi po nim dobiegł mnie głos jak gdyby przerażony:

»Czekaj... czekaj... Teraz już dna nie widzę tak dokładnie, jak pierwej... Ono jakoby oddaliło się odemnie!«

Wtedy gniew mój zamienił się w wściekłość. Cały pęk sznurów rzuciłem w tę głęb milczącą i zawołałem:

— Sfinksie potworny, otchłani tajemnic! Rzucam w tę paszczę moją ołowiankę wraz z sznurami! Jeżeli nawet ręka moja utraci koniec sznura, ja okiem za ołowianką pobiegnę, będę ją ścigał tam, gdzie nikt nie śmiał zajrzeć, do dna, do dna!

Lecz zaledwie sznury zapadły pod powierzchnię morza i lekko poruszone wo-

dy ułożyły się w czyste zwierciadło, kiedy z głębi od ołowianki dobiegł mnie ten sam głos, ale jak gdyby pełen smutnej skargi:

»Daremnie lecę w tę głąb! Im więcej zbliżam się do dna, tem mniej wyraźnie go widzę, tem bardziej ono oddala się odemnie i to oddala w jakąś nieskończoność!«

Zimny dreszcz przebiegł po mnie jak fala, opuściłem głowę, ogarnęło mnie jakieś odrętwienie, jakaś obojętność na wszystko. Myśli moje tylko wirowały w czaszce około jednego punktu, jednego zagadnienia, dylematu, głębi morza duszy ludzkiej.

Bezdenne ?!...

Spojrzałem w przestrzeń niemającą końca, gdzie słońca w czasie wiekuistym zapalały się i gasły. Spojrzałem w głębie morza duszy ludzkiej. I tu nieskończoność?...

Właśnie wiatr lekki zerwał się, zmącił wody; za nim powiały silniejsze podmuchy i toń rozprysła się na góry szmaragdowe. Barka moja jęła miotać się na fali. Lecz z nadchodzącą burzą, zamętem i hukiem ogarniać mnie poczęła jakaś energja, bu-

dziła się we mnie uśpiona siła wewnętrzna. Przy szumie wiatrów i huku bałwanów przez czaszkę moją strzelały błyskawice różnych myśli i jakiś potężny głos grzmiał we mnie :

»Więc jest w tobie ta nieskończoność i ty sam jesteś nieskończonością ! Obalisz stare prawdy i nowe postawisz, wielkie jak wszechświat, groźne jak wiekuistość ! W przestworach twojej duszy jest klucz do wszelkich zagadek, przestrzeń twej myśli przebieży wszystkie przestrzenie i głąb twego ducha pójdzie mierzyć wszystkie głębie !«

.
. . . I znikło mi z oczu to morze, ta kopuła błękitna, to słońce w zenicie gorejące. Pierzchnęło to całe piękne widzenie. Zbudziłem się ciężko oddychając. A chociaż chłodna a ostrożna wiedza inne rzeczy mówi, chociaż ona nieubłaganą ręką zakreśla granice moim myślom, to przecież ile razy wspomnę to widzenie, tylekroć czuję się rzeźwiejszym i silniejszym na duszy.





Kocham.

Dzieciństwo moje przebrzmiało mi jak piosenka rzewna, króciuchna, wiecznie przypominająca się a jednak nuty jej pochwycić nie zdołam, dźwięczą mi tylko oderwane tony w bojowej wrzawie mego życia. Ileż razy mówiłem wtedy: kocham! Bo ja i szczęśliwość to było jedno. Jeno ja byłem ciałem a szczęśliwość była duszą ożywiającą moje małe jestestwo.

I przyszła młodość pacholęca i zabrała mi wszystką wiosnę z nieletniego oblicza a wszelką szczęśliwość z serca. Śród obcych obcy widziałem w koło siebie zapał, natchnienie, widziałem w koło siebie chłopców, którym wolno było żyć życiem radości i swobody. Na mojem czole było wypisane słowo: Pogarda. Tyś nie taki jak inni, mówiono mi po kątach. Niekiedy pocieszano mnie w ten sposób.

I przyszedł do mnie wiek młodzieńczy i opowiedział mi wszystko, co powinienem był wiedzieć a czego bodajem był nie poznać. Opowiedział mi wszystko, co się nazywa zgrozą, nędzą, goryczą, bohaterstwem, poświęceniem lub podłością. Następnie jak szatan ukazał mi wszystkie szczęśliwości tego świata i wszystkie zrzeczenia. Kusił mnie. Ale w końcu odepchnąłem go i poszedłem jasno wytkniętą drogą, którą wtedy wielu szło i którzy razem zenną byli wyśmiani.

I przyszedł wiek dojrzały, przyszedł ukradkiem jak złodziej, sztydził z mego umysłu i z mego serca, plwał mi w twarz, przykuł do taczki przeróżnych obowiązków, wygnał z mego mózgu wszelkie zwątpienie i wszelką nadzieję a z serca wszelki chłód i wszelkie ciepło. Wypalił ogniem ze mnie wszelkie wspomnienia i wszelkie przywiązanie do dawnego a nowe na barki włożył jako ciężar nieznośny i ugiął mnie pod jego brzemieniem. »Tyś człowiek rzeczywisty!« mówił mi. I sam nie wiem, czy mi chciał prawdę mówić, czy tylko urągał.

Dziś rano, po żmudnie spędzonej nocy, po kilkogodzinnym zaledwie spoczynku, znużony jeszcze, przyczesalem włosy i na grzebieniu został pukiel siwy. Już siwy? pomyślałem z uśmiechem. Wiek mój wiekiem męztwa i dojrzałości. Czem tedy będę jako starzec?

Dla kogo ta praca, te dążenia, ta niestrudżoność? pytałem sam siebie. Dla kogo tak młodo osiwiłem? Dlaczego z takim pośpiechem wychodzę na spotkanie mojej starości?

Wzrok mój przebiegł po polach, osadach... Dla nich, pomyślałem... Kochasz ich?... O, kocham! odpowiedziałem sam sobie.

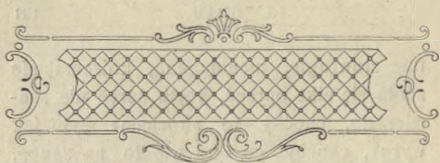
W tej chwili dźwięczała mi jakaś dawna, dawna nuta, dawne przebrzmiała, zapomniana, tak bliska sercu, tak luba, wiosenna, pełna szczęśliwości...

To moje dzieciństwo po tylu latach odezwało się we mnie na nowo. Czemu ja jednak nie czułem wtedy tej miłości tak, jak ją dziś czuję, choć sam byłem miłością?...

To dzisiejsze »kocham« jest jakieś inne, jest nie jak szczęśliwość, ale jak Fa-

tum złowrogie, nieubłagane, któremu nie zdoła się nikt oprzeć, komu serce nie skamieniało, choćby to »kocham« było jak wyrok, choćby go ono wiodło na zgubę, na zatracenie, na wieczne, wieczne zatracenie...





Na morzu.

Statek nasz wybiegał z przystani i lekko kołysał się na falach Bałtyku, prując toń zieloną. Z komina buchały kłęby dymu. Rozpięto żagle. Słońce wspinało się z nieba. Pod wieczór jednak ukazały się na zachodzie czarne chmury i nim zdołano napowrót żagle zwinąć, świsnął wiatr, zaburzył fale i rozpoczął się dziki taniec na wodach.

Po raz pierwszy w życiu żeglowałem na otwartem morzu. Nie znałem tedy niebezpieczeństwa, które groziło statkowi i załodze. Słońce zapadało za rude chmury. Wiatr dał z przerażającą siłą. Fale piętrzyły się dokoła bryzgając białą pianą. Statek jak ogromna ryba ciskał się po bałwanach, wpadał na ich szczyty, staczał się następnie w głąb, kołysząc się, drżąc, skrzypiąc. Uchwyciłem się oburącz barjery i spoglądałem w dal.

Wtem poczułem czyjeś ramie na plecach. Odwróciłem się. Był to kapitan. Prawą rękę wyciągał ku jakiejś gromadce ludzi, skulonych opodal na pokładzie, otulonych szaremi guniami, wybladłych, ale bardzo spokojnych. Kapitan zawołał z uśmiechem ironicznym :

— Patrz pan, to pańscy rodacy !

I odszedł. W pierwszej chwili doznałem jakiegoś nieprzyjemnego uczucia, jak gdyby słowa kapitana mnie dotknęły. Po chwili jednak serce wzięło górę i uczułem, że ci nędzarze tam na pokładzie skuleni to coś tak bliskiego, jak brat lub ojciec, ba, w tej chwili, tu na morzu, zdała od ziemi rodzonej, stawali się niemal czemś bliższem...

Podszedłem ku nim. Zobaczyłem jednak, że spali, lub udawali, że śpią. Byli to słowacy z pod Babiej Góry, wędrowni koszykarze. Nie śmiałem ich budzić. Cofnąłem się ku barjerce. I przyszły mi na myśl góry ojczyste, równie groźne jak to morza, równie posępne, po których szaleją halne wiatry. Przyszły mi na myśl te burze, które po ich wirchach przewalają się ;

ów lud biedny, kryjący się po halach, w schroniskach, niby my tu na tej nawie pośród rozszalałego żywiołu. Ten lud biedny, nędzny, uciekający z gór za zarobkiem, przebiegający z kosą lub z koszykami dalekie ziemie, lud tułaczy, wzgardzony.

I znowu spojrzałem ku gromadce, skulonej na pokładzie. Jeden z nich podniósł nieco głowę, ale widząc, że ich podpatruję, opuścił ją i udawał śpiącego.

Dziwne uczucie przepętniało mi pierś. Gorycz, żal, onieśmienie, to wszystko naraz zaczęło mi nękać duszę. Czuję się czy obcym, czy małym wobec tych prostaków, którzy mnie znać nie chcieli, czy nie śmieli. Wtedy pomyślałem sobie, że żyjemy, myślimy i czujemy w obłokach, zbliżamy się do gminu w obłokach, bratamy się z nim w obłokach... Ale gdy zejdziemy na ziemię, nie umiemy nawet do niego przemówić, stajemy onieśmieleni, jak ludzie innego świata... I wstyd mi było tej mojej wyższości, wstyd mi było tych naszych marzeń, ideałów, wstyd mi było samego siebie wobec tej rzeczywistości...

Patrzyłem na tych nędzarzy jak mara zaświatowa na żywych ludzi spogląda, czułem, że nie jestem człowiekiem żywym, ale ideą, abstrakcją, marą, śniącą w obłokach, nie umiejącą chodzić po ziemi...

Wicher szalał coraz straszliwiej, fale wzdymały się w kształtach potwornych dokoła okrętu. Zapadła czarna noc i wnet błyskawice zaczęły latać po niebie. Nastąpiła przerażająca chwila. Okręt ciskał się jak zwierz, wicher w linach świszcział, majtkowie biegali po pokładzie, nawet kapitan przelatując opodal wyglądał jak człowiek, który traci głowę.

Trzymałem się oburącz barjerki, złany wodami, przemokły do nitki. Czasem tylko, gdy błyskawica rozdarła niebo i rozlała dokoła powódź sinego światła, widziałem wzburzone morze. I wnet wszystko pokrywało się nieprzebitymi ciemnościami.

Nagle dosłyszałem opodal znany mi dobrze śpiew. Niekiedy głużył go wicher. Ale on brzmiał coraz pewniej i donośniej, choć przerywany, brzmiał smętnie a uroczysto. Zwróciłem oczy w kierunku tego, śpiewu, ale z powodu ciemności niczego

nie dostrzegłem. Po chwili huknął grom, zabłysła olśniewająca błyskawica i wtedy ujrzałem ową gromadkę klęczącą na pokładzie z odkrytymi głowami, złożonemi do modlitwy rękami, śpiewającą kornie, tu, na wzhurzonem morzu, z wiarą niezłomną, wielką a prostą, obcą mi, dziwną a przecież potężną. Śpiewali oni jedną z tych starych pieśni, która rozbrzmiewa po wszystkich naszych kościółkach, na stałej ziemi, gdzie szumią świerki i topole, gdzie wiatr przygrywa, śpiewali jak u stopni ołtarza swojego kościoła, spokojnie, pobożnie...

Wtem lunęły strugi deszczu, błyskawice rozlewały się po niebiosach jak ognie, grzmot łączył się z grzmotem w jeden ustawiczny huk, któremu wtórował nisko potężny szum bałwanów.

Odkryłem głowę, przyklęknąłem na pokładzie a chociaż myśl moja przy nucie śpiewu pobożnego odbiegała nie tam, gdzie czyste dusze tych prostaczków się zwracały, to przecież łzy nie mniej gorące splywały mi po twarzy i serce moje biło nie wolniej od serca tych nędzarzy. A pioruny były w morze coraz bliżej statku...

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
<http://rcin.org.pl>
Tel. 26-68-12

SPIS RZECZY.

	Strona
1. Listopad	5
2. Dwa pokolenia	9
3. W przestworach	11
4. W górze	14
5. Okręt noey	16
6. Wiatr	19
7. Starowina	22
8. Żmija	27
9. Stara warjatka	32
10. Automaty	37
11. Głosy podziemne	41
12. Maszynista	46
13. Południe	52
14. Papierowy djabeł	56
15. Święto podziemia	61
16. Wózek góralski	68
17. Wizyta	71
18. Po dniu wypłaty	74
19. Tragedja	79
20. Lampa	86
21. Rozdwojeni	95
22. Dzieci bruku	100
23. Dwa cienie	104
24. Sarenka	107
25. Szatan	114
26. Życie	118
27. Człowiek pracy	119
28. Ołowianka	123
29. Kocham	128
30. Na morzu	132



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

X.
1155.